

ZA CO ?

autor: Stanisław Górny
ul. Marcinkowskiego 9e/5
66-400 GORZÓW WLKP.
tel. 73-258

W S T Ę P

Jak każdy człowiek w pewnym wieku, kiedy ma dużo czasu dla siebie, wracam do czasów najodleglejszych - dzieciństwa. Może wynika to z potrzeby uporządkowania drogi, którą dane mi było przejść? A może dlatego, że dziś, pełniej przeżywany kontakt z ludźmi i przyrodą kojarzy mi się nieodwołalnie z portretami i krajobrazami tamtych lat?

Moje wczesne dzieciństwo przypadło na czasy najgorsze, jakie można sobie wyobrazić - czasy II wojny światowej. Kiedy mógłbym się cieszyć beztroską zabawą jak dziecko w wieku przedszkolnym, zostałem skazany na głód, poniewierkę i wygnanie z rodzinnego domu.

To zaważyło, że obrazy z tamtych czasów, nie pozbawione szczegółów - tak bardzo wryły się w moją pamięć. Czasem bezwiednie wypływają na powierzchnię z dna podświadomości. Z tamtych czasów pozostało mi także to - że zazwyczaj nie mówię o oprawcach i katach niewinnych ludzi - „faszyści”. Mówię po prostu: Niemcy albo Ukraińcy. Tak mówiono wtedy o tych, którzy strzelali do Polaków i Żydów.

Nim zdecydowałem się na napisanie tego, co widziałem oczami dziecka, zastanawiałem się ile i jakie fakty tak naprawdę pamiętam. Czy gdy zacznę pisać, potrafię je uporządkować?

Po głębszym zastanowieniu się uznałem, że tak. Do utrwalenia się w mojej pamięci wielu zdarzeń, a nawet szczegółów i scen z okresu wysiedlenia przyczynił się fakt, iż czas ten często wracał we wspomnieniach mojej rodziny. Prowokowały

je bardzo różne sytuacje. Czasem spotkania ze znajomymi z okresu wojny, czasem moje pytania, czy refleksje rodziców i moich sióstr.

Przystępując do opracowania moich wspomnień wiedziałem, że mogę korzystać z bardzo cennej pomocy - pamiętnika mojej najmłodszej siostry Teresy, pisanego od 1944 roku.

Jest jeszcze jeden fakt, który powoduje, że wspomnienia o miejscach gdzie przebywaliśmy wysiedleni i o zdarzeniach, których byłem świadkiem odżywają na nowo. Do tych miejsc wracam od ponad 30 lat. Tam co roku jadę, by odwiedzić najbliższych krewnych mojej żony Marylki.

I. WYPARCI NA WSCHÓD

Najbardziej odległe wspomnienie, jakie utkwilo w mej pamieci wiąże się ze śmiercią ukochanego zwierzęcia.

Huk, jakiego jeszcze nie slyszalem, zastał mnie bawiącego się na podwórku. Odbił się echem od naszej stodoły i powrócił do zabudowań niemieckiego kolonisty; stamtąd nadleciał i mnie wystraszył. Spojrzałem w tym kierunku. Przez rów, który oddzielał nasze pole od łąki bauera, w miejscu gdzie nie było zarośli, przeskoczył człowiek. Trzymając w ręku karabin, szedł w kierunku podwórza. Zatrzymał się tuż przy naszym sadzie. Widziałem go dobrze, gdyż drzewa były bez liści, a słońce jeszcze się nie schowało za lasem. Patrzyłem, jak przyklęknął, położył karabin na trawie i wciągniętym zza pasa nożem uderzył w coś, co leżało w bruzdzie. Potem wstał i podniósł z ziemi sarenkę, by ją zarzucić na plecy. Wtedy zacząłem krzyczeć i ruszyłem na oślep do domu. Płakałem.

- Mamo, mamó! Jeden pan zabrał nam Basię!

- Co też ty gadasz synku, uspokój się, on na pewno nam ją odniesie, przecież wie, że to nasza. Albo sama tu wróci.

Matka uspakajając mnie, wzięła mnie na ręce i przytuliła.

Poczułem się lepiej.

Leżąc już w łóżku, bałem się zamknąć oczy. W wyobraźni pojawiał się obraz naszej sarenki, której na imię daliśmy Basia. Te śliczne i miłe zwierzęta rodzą się w maju - mówił mi ojciec. Może więc urodziliśmy się w tym samym dniu? Może 12 maja obchodziliśmy w 1939r. czwarte urodziny? Równe cztery lata wstecz też w grudniu, uczniowie ojca przynieśli Basię

ze złamaną nogą. Miała pół roku. Ojciec wyleczył ją. Mama codziennie dokarmiała mlekiem. Sarna spała w ciepłej obórcie z krową i owcami. Tak dorastając do samodzielności, spędziła u nas zimę.

Wiosną ojciec wypuścił ją do sadu na soczystą trawę. Nie odchodziła daleko. Mówiono mi, że na noc zawsze wracała do obory. Ale już w następnym roku w maju - mówił mi ojciec - Basia od nas odeszła. Dopiero w lipcu pojawiła się znowu na obrzeżu naszego pola, tuż przy sadzie. Gdy ją tatuś przywołał, podeszła do niego, polizala go po ręce i wróciła do żyta. Potem znów wyszła ze zboża i wahając się, odwracała tam głowę. Za nią na chwilę wyłoniły się jej dzieci i na widok człowieka czmychnęły.

Myślałem w łóżeczku o niej i nie mogłem zasnąć. Dręczyła mnie myśl, już nie wróci i nie polize mojej głowy. Dotąd widząc mnie, przychodziła na podwórko, a ja lubiłem ją głaskać po szyi. Dziś też zapewne szła, żeby się ze mną zobaczyć. Mama mówiła, że jeszcze przyjdzie. Przetarłem więc wilgotne oczy i uśmiechnąłem się na myśl o tym. To może będzie już jutro? To byłby bardzo radosny dzień. Ma przyjechać mój stryj Józef - proboszcz z parafii Włoszakowice. Przywiezie zapewne prezenty, bo to jutro świętego Mikołaja i mnie bardzo kocha. Może będzie śnieg i przyjedzie saniami? A podwieczór pokażę prezenty Basi Tylko niech przyjdzie ...

Do kuchni za zmkniętymi drzwiami wszedł ze dworu ojciec. - Słyszałaś ten strzał? spytał mamę - Basia nie żyje. Friedman ją zabił. Tuż przy naszym ogrodzie. Przecież wie, że tak nie wolno.

- Ciszej mów! Staszek pewnie jeszcze nie śpi. Dałam mu nadzieję, że sarenka wróci. A po chwili dodała - Im już wszystko wolno. Strzelają w zagrodach Polaków. Nie tylko do zwierząt!

Łzy popłynęły od nowa. Łkając po cichu znów powróciłem do tamtej sceny. Ujrzałem głowę sarny zwisającą na plecach niemieckiego kolonisty. Uświadomić musiałem sobie, że mama dawała mi tylko nadzieję, żebym nie płakał. Dowiedziałem się wówczas, że z hukiem może pojawić się śmierć. Do tej chwili nie byłem tego świadomy, mimo że wojna trwała już trzy miesiące.

Następnego dnia stryj nie przyjechał. W tym czasie był w drodze do Dachau. Zoniarz Basi na podwórzu pojawił się Fridman w towarzystwie młodego Niemca. Obydwaj na rękawach mieli opaski ze swastyką i karabiny na ramionach. Starszy przemówił do mamy po niemiecku.

- Zusammen packen sich!
- Spakować się - powtórzył po polsku młodszy. Języka polskiego nauczał go mój ojciec; w klasie za ścianą naszego mieszkania, w tym samym budynku szkolnym. Uczył się razem z polskimi dziećmi. - Przyjdzie pan sołtys, to wam odczyta nakaz władz niemieckich - kontynuował Niemiec z karabinem. Potem udzielił dalszych instrukcji. Między innymi powiedział podobno, że każdy z członków rodziny będzie mógł zabrać bagaż do 10 kg i że na punkt zbiórki w Lesznie powiezie nas sąsiad furmanką. Do tego czasu nikt nie ma prawa wychodzić z budynku.

To był wstrząs przede wszystkim dla naszej matki. Siostra zapamiętała, że mama zaczęła przerażona kręcić się po kuchni.

Wbiegała bez celu do sypialni i pytała: "co robić, co robić?" Sytuacja była tym bardziej dramatyczna, że ojciec przebywał w tym czasie w odległym o 12 km Lesznie. Tam pojechał, by prosić o pracę dla siebie, bo już mu nie pozwolono uczyć w szkole, którą kierował do wybuchu wojny. Do domu miał wrócić w południe. Także dwie starsze siostry nie były obecne. Przy mamie została tylko starsza ode mnie o osiem lat, najmłodsza z moich sióstr i ja, jedyny chłopiec w rodzinie.

Jako niespełna pięcioletni dzieciak nie bardzo zdawałem sobie sprawę z zaistniałej sytuacji. Czułem, że jakaś okropność zawisła nad nami, bo widziałem niepokój i łzy matczyne, strach w oczach siostry i te karabiny u boku Niemców. Zwłaszcza ten jeden, z którego zapewne starszy Niemiec strzelił wczoraj do Basi.

Na szczęście szybko odnalazły się starsze siostry. Mogły wspomagać biedną naszą mamę. Mnie z najmłodszą siostrą wyprowadziły do pokoju na strychu. Podobno na życzenie mamy. Nie pamiętam, co wtedy robiłem. Nie pamięta tego również siostra. Mama opowiadała mi potem, że głośno beczałem, gdy ładowali nas na wóz, bo z nami nie było taty. Pojawił się w momencie, gdy już Niemcy kazali ruszać w drogę. Odebrali mi teczkę z zakupami i rozkazali siadać na wóz z pustymi rękami. Usiadł koło mnie. A mnie żal było teczki, bo miałem nadzieję, że w niej przywiezie ojciec prezent dla mnie, "od świętego Mikołaja".

Tuż za torami, gdzie kończy się wieś, obejrzałem się. Zobaczyłem przydrożną tablicę. Spytałem co tam napisane.

- Krzycko Wielkie - odpowiedział tata. Żal, że nas wypędzają z tej naszej wsi.

- Za co? - podobno zapytałem i nie uzyskałem odpowiedzi. Zawieziono nas do czerwonego budynku w Lesznie przy ul. Metziga. To był i jest budynek szkoły, do której uczęszczałem po wojnie. Wtedy przed wejściem stali niemieccy żołnierze. Towarzyszyły im duże psy. Szczekały na nas, szrpiąc się na smyczy. Zapamiętałem ich obnażone kły. Podobno mocno trzymałem się ojcowskiego rękawa.

Wprowadzono nas do dużej sali z rozłożoną na podłodze słomą. Barłóg miał zastąpić tapczany i łóżka. Tu mieliśmy spędzić noce i dni. A pierwszą noc zapamiętałem najbardziej.

Nasza rodzina znalazła miejsce pośrodku między innymi zwiezionymi tu ludźmi, też rodzinami nauczycielskimi z leszczyńskiego powiatu. Niemcy nie pozwalali opuszczać pomieszczenia. Na noc ryglowali drzwi. Na korytarzu siedział żandarm. Towarzyszył mu pies. Słyszało się czasem jego warczenie, a mnie się zachciało siusiu. Ojciec poradził, abym wytrzymał do rana. Zlitowała się mama i dała mi jakiś słoik. To było dla mnie okropne przeżycie, bo w domu mówiło się, że te rzeczy należy robić bez świadków. Wyciągać z portek, gdy patrzą obcy, to wstyd, a nawet grzech. Więc jak to zrobić przy tych, co leżą w barłogu, w świetle niezgaszonej celowo żarówki? Popłakałem się z rozpacz.

Podobnych nocy za zamkniętymi drzwiami na barłogu było jeszcze siedem. Każdego dnia dowożono nowych wysiedleńców. Już nie tylko nauczycielskie rodziny. Byli wśród nich znajomi

naszego ojca. Z wiosek, z Leszna i okolicznych miasteczek. Gdy "napchano" ludźmi jedną klasę, Niemcy przeznaczali na "hotel" kolejne, szkolne pomieszczenia. Zapełnili ich wiele.

Nadszedł określony przez władze niemieckie dzień odjazdu. Nikt z Polaków nie wiedział dokąd. Ktoś już straszył, że wywiozą nas do obozu koncentracyjnego. Mówiło się o kominach budowanych przez hitlerowców, przez które wylatują z dymem ludzkie dusze. Słuchając takich opowieści miałem prawo do niespokojnych snów. Moczyłem się nieraz w ciągu nocy.

W marszu na leszczyński dworzec kolejowy towarzyszyli mi strach. Prowadzili nas ulicami miasta żandarmi z psami. To był długi korowód ludzi w różnym wieku. Szły dzieci, kobiety i starcy. Na wszystkich warczały psy bez kagańców, a popychano kolbami. Potem psy szczekały, a myśmy wchodzili do bydlęcych wagonów. I znów trzymałem mocno ojca za rękę. Nie pamiętam czy ludzie płakali. Ja podobno trzymałem się mężnie.

Do tego samego wagonu, w którym znalazła się nasza rodzina wpełchnięto kilkadziesiąt osób. Brakowało miejsca na prymitywnych ławach, gęsto ustawionych w wagonie. Część ludzi musiała stać. Była z nami rodzina Przerackich z Krzycka - matka i dwaj synowie bez ojca. Ich ojciec już nie żył.

Pan Przeracki do wybuchu wojny był sołtysem w naszej wsi. Był też właścicielem gospody. W niej spotykali się polscy rolnicy i niemieccy bauerzy. Tych drugich było mniej, ale byli bogatsi. Jedni i drudzy spijali trunki przy oddzielnych stolikach. Każda grupa śpiewała piosenki w swoim języku, lecz do scysji - jak wspominał ojciec - raczej nie dochodziło.

Dlatego zdziwiono się, gdy p. Przeracki został rozstrzelany przez Niemców w październiku. Nikt nie wiedział za co.

Jego synowie z matką dowiezieni zostali do naszej grupy później, ale znaleźli się z nami w tym samym wagonie. Tych wagonów było wiele. Cały transport stał na boczniccy dworca towarowego. Zapewne podróżni oczekujący na przyjazd pociągów osobowych, mimo że stali na peronach, nie wiedzieli o naszym pociągu. Nikt z bliskich nie przyszedł, by nas pożegnać.

Nasz pociąg ruszył, gdy zrobiło się ciemno. Jeszcze nie spałem, więc mogłem widzieć w szczelinach wagonu światła dworcowych latarni. Nagle w wagonie zrobiło się ciemno i Leszno pozostało za nami. Tych, co zdołali zasnąć, zbudził zgrzyt rozsuwanych drzwi wagonu. To niemieccy żołnierze rozsuwali je z zewnątrz i coś wykrzykiwali po niemiecku. Rodzice znali ten język. Przed I wojną chodzili do szkół w Wielkopolsce, w których uczono tylko w tym języku.

Po otwarciu wagonu zezwolono nam grupkami wyjść na zewnątrz, by załatwić swoje potrzeby. W dziennym już świetle widać było puste pole.

Dziwię się, że tą przerwę w podróży zapamiętałem dość wyraźnie. Nie mogę sobie natomiast przypomnieć, kiedy i w jakich okolicznościach spożywaliśmy wówczas posiłki. Musieliśmy przecież coś jeść, bo ta podróż trwała kilka dni i nocy. Daleką wytyczono nam trasę: aż do Tomaszowa Mazowieckiego.

W tym mieście wiadano już, że przyjadą wysiedleni. Przed naszym przybyciem zawiązał się w sposób spontaniczny - jak to później mówiono - "Obywatelski Komitet Pomocy Najbied-

niejszym Polakom". Na to zgodziły się władze okupacyjne i pod ich nadzorem Komitet działał. Prezesem został pan Smulski, a sekretarzem pani Klimkiewicz. W skład tego komitetu dokooptowano kilka osób spośród wysiedlonych. Między innymi rozpoczął działalność nasz znajomy z Leszna, a krewny naszych sąsiadów w Krzycku. Po wojnie był w Lesznie inspektorem szkolnym. On właśnie opowiadał mi wiele lat po wojnie o zakresie działalności tego charytatywnego zespołu w Tomaszowie Mazowieckim. Działali w nim przede wszystkim miejscowi nauczyciele. Ale z pomocą dołączyli też inni. Chciano także włączyć do komitetu miejscowych sklepikarzy i drobnych biznesmenów narodowości żydowskiej. Odmówili. Może dlatego, że już wtedy w Tomaszowie (koniec grudnia 39r.) musieli nosić opaski z gwiazdą Syjonu.

Naszą rodziną tuż po przyjeździe zaopiekowało się małżeństwo nauczycieli - państwo Dziobakowie. Już przygotowywano dla nas lokum w byłym gabinecie lekarza szkolnego. Ale na początku przebywaliśmy w "zbiorowej sypialni" urządzonej w jednej szkolnej sali z pościeleniem ze słomy. Znaleźli się też w niej inni wysiedleńcy, ale już nie było niemieckich strażników.

Pani Dziobakowa na wstępie poczęstowała nas ciepłą zupą. Było to danie zwane zalewajką. Jadłem to wtedy pierwszy raz w życiu. Smakowała bardzo.

Później i nasza mama nauczyła się przyrządzać tę zupę. Gotowała ją w czasie wojny, chociaż często nie było produktów, żeby ją ugotować. Nawet ziemniaków.

Z początku mieliśmy trochę grosza. Gdy zaczęła się wojna

i szkoły zostały zamknięte, polskie władze oświatowe wypłaciły ojcu trzymiesięczną odprawę. Suma tych pieniędzy na przedwojenne czasy stanowiła spory majątek. Ojciec zarabiał już 300 zł. Za taką kwotę można było kupić dwie krowy. A za 900 zł.? Cóż z tego. Pieniądze te szybko uległy dewaluacji i równie szybko zostały wydane. Rodzice zdążyli kupić potrzebne nam rzeczy, żeby było się w co ubrać i czym okryć na noc, bo nawet kocy nie mogliśmy zabrać w czasie wysiedlenia. Prędko nastąpiły czasy, że o słodyczach mogłem tylko marzyć.

Gdybym w tym czasie chodził do przedszkola, zaliczono by mnie do "średniaków". Nic więc dziwnego, że sytuacji, w jakiej znalazła się nasza rodzina, nie rozumiałem w pełni. Przyzwyczajony, że każdy mój kaprys był zaspakajany w Krzycku, żądałem becząc, by w Tomaszowie również spełniano moje pragnienia. Przecież byłem jedynakiem. Braci nie miałem, a siostry były o 8, 11 i 14 lat starsze ode mnie. Kupowano mi więc, gdy jeszcze były pieniądze jajka na targu, mleko u Żyda a nawet bułkę. Wszystko po cenach zawyżonych i wszystko kosztem reszty rodziny. Do czasu.

Jeszcze na gwiazdkę 39r., kupiono mi za dobrze przechowane przez ojca pieniądze smakowite kandydyny. Dostałem je w czasie wieczerzy, a nie pod choinkę. Wieczera wigilijna była biedna jak my. Choinki po raz pierwszy nie było.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy już w nowym mieszkaniu. To był pokój, w którym przed wojną szkolny lekarz badał dzieci. Nie było tam wygodnie. Tylko dwa łóżka i sienniki na ziemi, zajmowała nasza sześciuosobowa rodzina. Ja spałem

z ojcem na jednym z łóżek. Starsze siostry zajmowały sienniki, które w dzień wsuwały pod łóżka.

Ojciec przed snem opowiadał mi bajki. Ale czasem - jak przystało na mężczyzn - prowadziliśmy "poważne rozmowy". Pytałem podobno o różne sprawy, zwłaszcza o te, które miały związek z wojną. Interesowało mnie, jak wyglądają polscy żołnierze, jakie mają karabiny i czy umieją strzelać z armaty.

W czasie tych rozmów ojciec zapewne mówił mi także, jak zbudowany jest karabin. Wprawdzie widziałem taki, ale ze strachu nie byłem w stanie przyjrzeć się budowie tej broni. Pytałem być może, czy polski żołnierz nosi karabin - jak Niemiec - na pasku. W każdym razie, jak każdy chłopak, zapragnąłem się uzbroić, mierzyć i strzelać do wrogów. Wkrótce wyszukałem kawałek ściętej ukośnie deski, długiej chyba na metr i zakończonej szpicem, co przypominało lufę. Przywiązałem do niej sznurek i na czubku umieściłem gwoździć, co zastąpiło muszkę. Potem ta broń została jeszcze bardziej upodobniona do karabinu, dzięki starszemu koledze, synowi woźnej, który wbił gwoździć w pobliżu "kolby". To był teraz cyngiel.

Uzbrojony w taki "karabin" uczyłem się strzelać. Tak, jak to każdy malec potrafi. Huk, gdy ciągnąłem za cyngiel wydobywał się z moich ust, zamiast z lufy. Brakowało tylko ognia i śmiertelnych pocisków. Byłem groźnym strzelcem - w swej wyobraźni - do czasu, kiedy stanąłem oko w oko z żołnierzem w niemieckim mundurze. Musiał zobaczyć mnie z ulicy, gdy wystawiałem lufę w szczelinie parkanu. Wszedł niespodziewanie na teren szkolnego podwórza, zaszedł mnie od tyłu i

w momencie, gdy celowałem do kolejnego wroga i już miałem pociągnąć za cyngiel, on krzyknął: "Halt!".

To niemieckie słowo uderzyło we mnie tak raptownie i zabrzmiało groźnie, że wypuściłem z rąk swój karabin i zdrętwiałem ze strachu. Odwróciłem się i ujrzałem nad sobą niemiecką czapkę. Spoglądały na mnie karcące oczy. Łapy żołnierza uniosły mnie do góry. Opanowany trwogą poczułem zupełną bezsilność. Nie byłem w stanie uczynić jakiegokolwiek gestu w swojej obronie. Zabrakło mi tchu. Zsiusiałem się.

Wyczuł to chyba napastnik, bo rzucił jakieś przekleństwo i upuścił mnie na ziemię. Tą scenę zobaczyła matka przez okno z mieszkania. Wybiegła na dziedziniec, gdy już mnie prowadził za rękę. Mama natychmiast przyznała się do mnie, jako do swojego dziecka. Wysłuchiwała reprimendy w języku, którego nie potrafiłem zrozumieć.

Później mama mi wyjaśniła, że ten żołnierz był Czechem służącym w armii niemieckiej. Z tego, co mówił, należało wnioskować, że ma syna w moim wieku i chyba jest wrogiem wojny. Przeraziło go to, że taki dzieciak przyspasabia się do walki z karabinem w rękę. "Zaczyna się od zabawy, a kończy na zabijaniu niewinnych ludzi" - pouczał moją mamę. Wzięła to sobie bardzo do serca. Ojciec był zdania, że niepotrzebnie tak bardzo, bo nawet przez jakiś czas pilnowała, bym się nie bawił w żołnierza.

Zastanawiam się, dlaczego przeżyłem aż tak silny lęk, gdy ujrzałem człowieka w niemieckim mundurze? Sądzę, że dlatego, bo do czasu, gdy spotkała mnie ta przygoda, kojarzyłem

sobie niemiecki uniform wyłącznie z okrucieństwem. Prawdą jest jednak i to, że spośród setek spotkanych w czasie wojny żołnierzy wermachtu, dobroci z ich strony nie spotkałem wiele. Najwyżej trzy razy.

Gdy w 1940r. zbliżała się wiosna, w mojej rodzinie już rozpaczliwie szukano sposobów na przeżycie. Pieniądzy na jedzenie zabrakło. Skończyły się oszczędności. Rodzice sprzedali, co tylko można było sprzedać, a na palcach rodziców po obrączkach ślubnych zostały tylko ślady.

Każde z nas miało jedno ubranie. Gdy mama pręła jakiś przyodziewek, jego właściciel musiał leżeć w łóżku do czasu, aż pranie wyschnie.

Ojciec przemierzał tomaszowskie ulice w poszukiwaniu pracy. Nadal chciał być nauczycielem. Dlatego początkowo tylko o taką pracę pytał. Potem poszukiwał miejsca w byle biurze. I takiej posady nie było. W końcu zdecydował się być kimkolwiek, robić cokolwiek, żeby tylko zarobić i nakarmić rodzinę. Starania spełzły na niczym.

Na szczęście byli jeszcze dobrzy ludzie. Krewni i znajomi z rodzinnych stron. Powiadomieni o naszej beznadziejnej sytuacji, zaczęli przysyłać nam paczki. Takie, na jakie ich było stać i na jakie pozwalały niemieckie władze. Ograniczeń było dużo. Stąd też waga i zawartość paczek były kontrolowane na poczcie. Mimo zakazów czasem w przysyłanej z Poznańskiego paczce znalazł się kawałek słoniny włożony w rękaw starej kurtki, albo słoik smalcu zawinięty w przechodzoną koszulę. Było trochę mąki i kaszy. A przysłane ciuchy nieraz udało się

sprzedać i kupić za to ziemniaki. Tak się wiązało koniec z końcem, z obawą co przyniesie jutro.

A ja tymczasem tęskniłem za cukierkiem. Jakimkolwiek. Najbardziej jednak tęskniłem za mlecznymi "krówkami". Poprzyśiągłem sobie, że po wojnie zjem ich całą torbę - sam, w kącie i od razu. Wtedy rodzice nie byli mi w stanie kupić nie tylko mlecznych cukierków, ale nawet mleka.

Pamiętam, jak siostry przynosiły w konewce zupę w południe. Nie wiedziałem skąd. Mówią mi teraz, że z "garkuchni". A może po prostu chodziły po prośbie? Bo jeżeli faktycznie z kuchni, to za co?

Rozumowałem wówczas, że wszelkie dobra można nabyć za coś. Za pieniądze, za pracę lub za inne dobra. Także za coś trzeba było ponieść karę. Np. klapsa za to, że wyciągnąłem na siostrę język. Gdy mnie karano, albo komuś działa się krzywda, nie pytałem "dlaczego?" lecz "za co?" Takim pytaniem posługują się zazwyczaj dzieci. Często pytałem, za co nas Niemcy wysiedlili z Krzycka? Nigdy "dlaczego". - "Za coś" trzeba żyć, więc zrób "coś" Mieczek, żeby naszym dzieciom można było kupić "za coś" chleba - mówiła mama do taty. Ojciec mój dramatycznie przeżywał ten pierwszy okres wygnania. Mama wspomina wielokrotnie, że był bliski załamania. Któregoś dnia wracając z miasta dowiedział się, że jeden z jego znajomych nauczycieli podpisał "folksliste". Pozwolono mu wrócić w Poznańskie. Przypuszczam, że i naszego ojca wpisano by na taką listę. Znał bardzo dobrze język niemiecki. Podczas I wojny światowej wcielono go razem z innymi Poznaniakami do armii niemieckiej. Mógł nawet powiedzieć, że omal życia nie stracił za Niemcy, bo w drodze na front został ciężko ranny.

Jednak jestem przekonany, że nawet gdyby ojciec podjął decyzję pójścia w ślady znajomego nauczyciela, nasza mama nie pozwoliłaby na to. Wolała głód i nędzę niż utracić godność i polskość.

- Niech ci to nawet nie przyjdzie do głowy, bo by cię przeklął twój brat Józef - ostrzegała go podobno.

Ten matczyzny argument spowodował, że mój tato już więcej nie wracał do sprawy. Kochał przecież i szanował brata.

W tamtych dniach mój stryj - Józef Górny - przebywał w obozie koncentracyjnym w Dachau. Niemcy skazali go już w 1919 roku na karę śmierci po raz pierwszy za udział w powstaniu wielkopolskim, tworzenie rad i straży ludowych w powiecie wschowskim i jako księdza kapelana w IV Baonie, który walczył z Niemcami o polskość ziem od Lipna przez Kaszczor do kanału Obry.

Nasza mama także ciężko znosiła ten czas wygnania. Podupadła na zdrowiu. Traciła słuch. Podobnie jak ojciec, rozważała różne sposoby przetrwania i poprawy naszego życia.

Pewnego dnia zdecydowała wbrew przepisom okupanta, spróbować powrotu w rodzinne strony. Zaplanowała powrót pieszo.

Nie brała pod uwagę tego, że jesteśmy oddaleni od Krzycka o ponad 300 kilometrów.

- Zgłupiałaś chyba - skwitował ojciec jej pomysł. - Jak ty sobie wyobrażasz przejść pieszo z małym dzieckiem w środku zimy? I pewnie myślisz, że na granicy spotkasz się z serdecznym powitaniem Niemców?

Co do jednego byli zgodni. Uznali, że nie możemy pozostać w Tomaszowie. Bez źródeł do życia i jakiegokolwiek perspektywy na poprawę sytuacji.

Postanowili, że trzeba się wynieść z miasta na wieś.

Tam ludzi łatwiej poznać i zjednać. Można też będzie uprawiać ogródek warzywny. Mnie taka perspektywa bardzo ucieszyła. Bo przecież na wsi są różne zwierzątka. Zwłaszcza krowy, co dają mleko, którego byłem spragniony.

II. POKÓJ NA SCENIE

Wkrótce ojciec dowiedział się, że w pobliżu Opoczna może otrzymać pracę w wiejskiej szkole. Mógł zająć miejsce po zmarłej nauczycielce. Szybko załatwił formalności związane z zatrudnieniem, zgodę władz niemieckich na przemeldowanie i przeniesienie z rodziną do Chełst koło Żarnowa.

To było wiosną 1940 roku. Nie pamiętam, w jaki sposób dotarliśmy do Żarnowa. Jak przez mgłę pamiętam, że z tego miasteczka, pełnego wówczas Żydów, jechaliśmy wozem konnym. Mimo zimna, byłem zadowolony, bo przede mną szedł koń machając ogonem. To przypominało przedwojenne czasy, kiedy stryj z Włoszakowic przyjeżdżał do Krzycha powózką i pozwalał mi siedzieć na koźle, przy woźnicy. Czasem pozwolili potrzymać lejce!

W Chełstach zamieszkaliśmy w remizie strażackiej. Mówili na to świetlica. Chałupa spora, bo sikawka mieściła się na sali, była też scena i zaplecze dla wiejskich artystów. Na zaplecze składały się dwa sąsiadujące ze sobą pomieszczenia. Może to były magazynki, a może przebierano się tam przed występem. Dla nas to był "pokój z kuchnią".

W kuchni matka umieściła "kozę" przyniesioną przez ojca. "Kozą" miała dwa otwory na fajerki, z jednej strony palenisko a z drugiej rurę, którą ojciec wepchnął jednym końcem do dziury w kominie. W kuchni był też stół i ławy, które wcześniej służyły widowni. Jedna z ław stała przy "kozie". Podobno chętnie na niej siadałem, bo było ciepło i wpatrywałem się w rozżarzone głownie.

W drugim pomieszczeniu, adaptowanym przez nas na pokój sypialny, był nawet piecyk kaflowy! Przy nim ułożono dla mnie siennik. Na nim spałem przykrywany pierzynką. Inni członkowie rodziny takich wygod nie mieli. Pamiętam, jak przed snem, w zimne wieczory, grzano dla mnie pierzynkę przy piecu. A tej wiosny często było zimno i wilgoć przechodziła z dworu przez sufit i ściany. Były okresy, że deszcz lał bez przerwy. Czasem deszcz ze śniegiem. Szczęście, że pojawiało się chwilami słońce. Wówczas mama wywieszała praną bieliznę na dworze. Wtedy mogłem wyjść z mieszkania. To było lepsze niż siedzenie w domu bez ilustrowanych książeczek i zabawek.

Dlatego z niecierpliwością pytałem, kiedy pojawi się słońce. Mama mówiła, że chociaż raz w ciągu dnia musi z niechmur wyjść słońeczko, bo Matka Boska pragnie wysuszyć pieluszki swojemu synkowi.

Ojciec zaś komentował kwietniową aurę ludowym przysłowiem: "kwiecień plecień, co przeplata trochę zimy, trochę lata". To oznaczało, że po deszczu będzie słońce, a po słońcu śnieg.

Te powiedzenia rodziców zapamiętałem dobrze. Od tamtych czasów pamiętam do dziś. Także jeden z deszczowych wieczorów. Dzień był szary i ponury, więc szybko zrobiło się ciemno. Oszczędzono wtedy naftę, w której umoczony knot stanowił jedyne źródło światła. Dlatego wcześniej szło się spać. Ja kładłem się pierwszy. Lało na dworze mocno, a dach nad remizą przeciekał. Obserwowałem wilgotną plamę na suficie. Z jej środka odrywały się duże krople wody i spadały obok mego posłania. Żeby zapobiec dalszemu zalewaniu mieszkania, na strych

weszła bardzo odważna Mira. Pod szczeliną w dachu miała podstawić ceber. Usłyszałem jej kroki nad sobą w pobliżu wilgotnej plamy na suficie. Potem nastąpił trzask i łomot. Instynktownie odwróciłem głowę do ściany i zamknąłem oczy. Gdy wróciłem do pierwotnej pozycji, ujrzałem nad sobą dziurę w suficie. "Przez nią na pewno wypadła moja siostrzyczka" - pomyślałem i zerknąłem na podłogę...

Na szczęście nie! Ona została na strychu. Obok mnie leżał tylko ceber z resztką deszczówki. Woda chlupnęła z cebra na moją pierzynę. Musiałem noc spędzić w innym kącie "sypialni", gdzie nie padał przez dziurę deszcz. A pierzynka suszyła się przy piecu.

Żeby piec kaflowy był ciepły i żeby na "kozio" zagotować wodę, potrzebne było "paliwo". We wsi nikt nie palił węglem. Niewielu było stać na kupno drewna. Tym bardziej nas. Rodzice wpadli na pomysł, by zbierać w lesie szyszki i chrust. Także gałązki z drzew przy drodze. Na to trzeba było otrzymać zezwolenie. I to ojciec załatwił.

Z odpadów i zużytej odzieży matka uszyła coś w rodzaju plecaków. Mnie też. Choć mniejszy od siostrzanych. Odtąd, niemal co dnia, od strony pobliskiego lasu widać było pod wieczór cztery pochylone postacie wracające do wioski. To my szliśmy uginając się pod ciężarem "paliwa". Trzeba było tego dużo zbierać, bo chrust i szyszki spalały się błyskawicznie.

Początkowo rodzice nie chcieli się zgodzić na uczestnictwo syna w zdobywaniu opału. Nawet zostałem pominięty przy szyciu worków. Jednak moje głośne: "Ja też chcę!" poparte łzami,

przyniosło korzystny dla mnie skutek. Zostałem włączony do ekipy zbieraczek. Nałożono na siostry dodatkowy obowiązek. Musiały pilnować, żeby braciszek się nie przeciążył i uważać, żeby nie zgubił się w lesie. Ale podobno nie sprawiałem im kłopotów.

Jedna z tych wypraw tkwi trwale w pamięci. To był kwietniowy dzień. Jeszcze drzewa nie miały liści, a chciałem, żeby się zrobiło zielono, bo ojciec twierdził, że na wiosnę przyjdą z Zachodu nasi sprzymierzeńcy i "pogonią germańca". Wtedy jednak nikt nie mówił, że nadchodzą. A myśmy nadal zbierali chrust, żeby w piecu napalić. Gdy już mieliśmy wracać do domu, przemknęło dwóch żołnierzy na koniach. Zobaczyłem ich tylko z tyłu, jak pędzili leśnym duktem. Zdażyłem jednak zauważyć, że mieli rogatywki. To samo widziały moje siostry. One wiedziały, że rogatywki nosili tylko polscy żołnierze.

O tym spotkaniu opowiedzieliśmy po powrocie rodzicom. W opowiadaniu byłem bardzo aktywny - to później potwierdzały siostry. Musiałem chyba dość szczegółowo i przekonywająco opisać wygląd żołnierzy, bo wywołałem radość ojca i mamy. - To jednak nasi jeszcze walczą z "niemiaszkami" - podsumowała matka. Po latach dowiedziałem się, że w rejonie Chełst i Żarnowa faktycznie w kwietniu przebywało polskie wojsko. Oddział majora Henryka Dobrzańskiego na wiosnę 1940r. nawiedzał okoliczne miejscowości. Ojciec mój wiedział, że mówiło się wtedy wiele o bohaterstwie legendarnego "Hubala" i jego żołnierzy. Dla nich w okolicy zbierano żywność. W Opocznie, w restauracji pana Franciszka Wilka urządzono punkt kontaktowy dla naboru ochotników, by uzupełnić szeregi tego wojska.

Z córką p. Franciszka przyjaźniła się później moja najmłodsza siostra Teresa.

W okolicy Chełst wiedziano też, że mjr "Hubal" odbywał z niektórymi ludźmi spotkania. Widziano go w Myśliborzu, miejscowości odległej od Chełst o kilka kilometrów, także w Żarnowie. Zapewne odwiedził też Chełsty. Czyżby i ja miał szczęście widzieć wtedy "Hubalczyków"?

Z historii wiem, że mjr Dobrzański zginął 30 kwietnia pod Anielinem w lasach Brudzewskich. Wkrótce do lasów w okolicach Żarnowa i Białaczowa k/Opoczna zaczęli przybywać ocaleni żołnierze z oddziału Hubala. Łączyli się z powstałymi już oddziałami partyzantów. Jeden z nich przyjeżdżał do naszej rodziny, bo przyjaźnił się z moją najstarszą siostrą. Genie zwracała się do niego per "Konrad". Czy to było jego imię, czy pseudonim - nikt z mej rodziny nie wie. Jego wizyty u nas odbywały się w jakiś czas po spotkaniu dwóch jeźdźców w lesie, gdy zbieraliśmy szyszki i chrust.

Kiedy zrobiło się ciepło i nadeszło lato 40 roku, w lesie zaczęliśmy zbierać również jagody. Zwłaszcza starsze siostry trudniły się ich zbieraniem niemal zawodowo. Najmłodsza uczęszczała do szkoły, w której ojciec otrzymał posadę nauczyciela.

Leśne jagody i czasem borówki mama przerabiała na marmoladę i powidła. Jednak większą część sprzedawało się w Żarnowie. Było więc trochę grosza ze sprzedaży i czym smarować chleb, ale chleb mógł ojciec kupić tylko raz w tygodniu albo raz na 10 dni. Czasem jeszcze rzadziej. Sprzedawano

go w Maleńcu, wsi odległej 4 km od Chełst. Rozdziałem chleba - jak wspominał ojciec - zajmowała się Rada Główna Opiekuńcza, której możliwości były niewielkie, bo niewiele mąki można było rozdzielić na piekarnie dla Polaków. I porcje były małe. Przydział starczał dla takiej rodziny, jak nasza - zaledwie na jeden dzień. Potem kolejny tydzień lub dwa o chlebie mogłem pomarzyć.

Głód zaczął dokuczać bardziej niż w Tomaszowie. W Chełstach "garkuchni" nie było. Mama sama gotowała obiady. Najczęściej pożywieniem była zupa z lebiody albo lebioda "udająca" szpinak. Oczywiście bez odpowiedniej przyprawy było to chudziutkie, jak wtedy ja. Pamiętam matczyną zachętę do spożycia lebiody: "Każdy zając szpinak zjada, to na ząbki dobra rada". A ja jadłem i bez takiej zachęty. Tego dopominał się ciągle pusty brzuch. Tak pusty, że ośmieliłem się go "napchać" tym, czym karmią świnię sąsiada. Wykradałem ziemniaki przygotowane jako karma dla trzody. Były dobre, zwłaszcza gdy były jeszcze ciepłe. Zapamiętałem ich smak, mimo że wtedy miałem 5 lat. Bałem się, co będzie, gdy o podkradaniu dowiedzą się moi rodzice, bo to wstyd i co najgorsze - grzech!

Rodzice wyrabiali we mnie uczciwość aż do przesady. Widzieli we mnie kandydata na księdza. Ale żeby nim zostać musiałem wpierw urosnąć. Tymczasem zatrzymałem się w rozwoju. To zrozumiałe, gdy się nie miało powszedniego chleba. Ojcu płacono zbyt mało i nie można było sobie pozwolić na kupno pieczywa po cenach czarnorynkowych. Podobno pensja Ojca starczyłaby tylko na cztery chleby spoza przydziału. I na nic więcej.

Trochę ratował nas założony przez rodziców ogródek na boisku przy szkole. Tam wyrosnąć miały warzywa. Jednak plony były słabe i nie wszystko, co zasiane, wyrosło z ziemi. Gleba była piaszczysta. Były miejsca, w których wyłącznie znajdował się piasek. Pozostawiano je jako nieużytki i powstawała pustynia. Jedną ze wsi w pobliżu nazwano Sa harą.

Piaszczyste pola przemierzałem po żniwach. Cała nasza rodzina ruszyła na rżyska, żeby zbierać kłosów. Uczono mnie wtedy odróżniać źdźbła żyta od trawy. Z zebranych kłosów łuskaliśmy ziarna. Niewiele tego można było zbierać, bo ludzie dokładnie czyścili swe pola.

Uzyskane ziarno siostry ścierały kamieniami na "mąkę". Z tego mama piekła placki. Były smaczne. "Razowe więc zdrowe" mówił tatuś.

Tuż po żniwach w naszej remizie pojawiło się kilku niemieckich żołnierzy. Mieli hełmy, plecaki i karabiny. Salę, gdzie stała strażacka sikawka dokładnie uprzątnięto. Tam nawieziono zboże i usypano pryzmę. Zboże żandarmi zabrali okolicznym chłopom. W ramach kontyngentu dla tzw. "Rzeszy". Urządzanie magazynu mogłem obserwować ze sceny, która teraz była dla nas mieszkaniem. Przyglądałem się temu przez dziurę w kurtynie. Interesowały mnie zwłaszcza postawione w stożek karabiny. Nie wiem dlaczego Niemcy postawili swoją broń w ten sposób. Mogli przecież powiesić, albo oprzeć o ścianę. Były chwile, że ich właściciele krzatali się na zewnątrz sali. Wtedy korciło mnie, by zeskoczyć i się do nich zbliżyć ... W kilka dni po zwiezieniu zboża, Niemcy kazali nam się wynieść z remizy. Coś mi się zdaje, że mama zdążyła nabrać

do konewki tego zboża, bo potem zobaczyłem jak meżła ziarno w żarnach.

To było w końcu sierpnia 1940 roku. Wtedy zamieszka-
liśmy 1,5 km od Chełst w małej wsi Antoniewo. Przygarnęli
nas do swojego domu dobrzy i uczynni ludzie. Nazywali się
Baćkowie.

Ich dom składał się z 2 izb. Jedna, w której był piec
chlebowy odstąpili naszej rodzinie. Do komina tego pieca
ojciec wsunął rurę naszej "kozy". Znow nasza mama mogła na
niej gotować potrawy. Znow trzeba było zdobywać opał.
Chodziliśmy więc nadal do lasu po chrust, szyszki i korę na
zrębach. Las był tu bliżej niż w Chełstach, więc mniej bo-
lały mnie nogi. Trzeba było mocno uważać na kolce i oset,
bo póki nie nastaly chłody, chodziło się boso. Buty każdy
oszczędzał na zimę. Nawet do kościoła w Żarnowie szło się
na bosaka, trzymając w ręku obuwie, by je założyć przed
wejściem do świątyni.

Buty miały spody drewniane. Szybko się ścierały. Wierzch
stanowiła skóra od starych butów. Na skórzane podeszwy nie
było nas stać.

Jesień w Antoniewie była dla nas względnie łaskawa.
W lesie pojawiły się grzyby, którymi można była napełnić
puste żołądki. Na polnych drogach znajdowało się czasem
zgubione przez chłopów ziemniaki, buraki czy brukiew. Z bruk-
wi mama gotowała zupę, urozmaicając spowszedniałe dania z pro-
duktów zastępczych.

Na grzyby chodziłem także. Z matką i siostrami.

Pamiętam ich przestrogi, by nie zbierać grzybów z blaszkami, bo są niejadalne, a nawet trujące. Dziwiłem się więc, że siostronom było wolno zbierać kurki. Były smaczne zwłaszcza "na gęsto" z pietruszką i nikogo później brzuch nie zabolął. Bały się jednak, że pomyłę w lesie z podobnymi do kurków grzybami.

Jeszcze przed nadejściem jesiennych chłódów, ojciec postanowił zebrać zapasy na zimę. Po skończonych lekcjach w chełstowskiej szkole, wraz z najmłodszą siostrą udawał się na obchód po okolicy. Nie wiedziałem, że żebrzą. Z tego "obchodu" przynieśli trochę ziemniaków, torebkę mąki i woreczek kaszy. Ludzie niewiele mogli ofiarować, bo sami klepali biedę. W dodatku większość zbiorów zabierali im bezwzględni Niemcy.

Żebracze wędrówki ojciec powtarzał. Odwiedzał też inne wsie w pobliżu Żarnowa. Zaglądał do drobnych majątków, które tu przeważały. Z jednego z nich ojciec z siostrą przynieśli pewnego razu dwa worki. To jedna z dobrych dziedziczek obdarowała ich tak hojnie. Siostra zamiast się cieszyć, przyszła zapłakana, bo ojca tam napadło psisko.

W listopadzie zrobiło się wyjątkowo zimno. Często padający deszcz podcinały dokuczliwe wiatry. Na drogach tworzyły się kałuże, których jesienne słońce nie miało siły wysuszyć. Świeciło rzadko. Nadal jednak musieliśmy oszczędzać obuwie. Moja siostrzyczka wracała jeszcze wtedy ze szkoły boso. Pewnego dnia wróciła z gorączką. Kaszel wskazywał na zapalenie płuc - mówiła starsza. Nie było pieniędzy by wezwać z Żarnowa

lekarza. Musiano ją leczyć domowym sposobem. Matka parzyła ziółka. Ojciec poszedł szukać na wsi znachora. Przyprowadził babkę ze słoikiem pijawek. Twierdziła, że przystawione - wyciągną z Tereni chorobę. Nie było rady. Trzeba było się na to zgodzić. Widziałem to z bliska, bo nie mieli mnie gdzie umieścić, żeby mi zaoszczędzić przykrego widoku.

Izba była jedna dla całej rodziny. Obraz zwiśających na ciele Tereni pijawek wrył się w moją pamięć na trwałe. Po latach, gdy sam zachorowałem i straciłem na wiele tygodni przytomność, widziałem pijawki na swoim ciele. Nie mogłem się od nich uwolnić ...

Wtedy - nie wiadomo, może dzięki tym stworcom - moja siostra na szczęście wróciła do zdrowia. Ale od tamtego czasu była chorowita i słaba. Jej rozwój fizyczny nie przebiegał normalnie i przez wojnę niewiele urosła. Matka zwracała się do niej "Maciupkie". Z czasem wszyscy nazywali ją "ciupkie". Obchodzono się z nią po chorobie bardzo troskliwe. Nawet miejsce na spanie dostała w ciepłym kącie. Chlebowy piec w naszym pokoju, mimo że w nim nie palono, promieniował ciepłem na ścianę. Przylegając do niego można było nagrzać plecy. To od pieca gospodarzy z za ściany pochodziło to ciepło. Tamten i ten nasz stykały się z sobą i miały wspólny komin. To było błogosławieństwo losu. Szczęście, że teraz nie musieliśmy mieszkać w Chełstach w pokoju na scenie. No ale przecież w Krzycku by było jeszcze lepiej!

Do rodzinnego domu w Wielkopolsce mieliśmy nadzieję wrócić przed tą zimą. Przed Nowym 1941 rokiem. Ojciec uparcie przekonywał matkę, że pomogą nam w tym Anglosasi i Francuzi.

Tymczasem Francja była już powalona przez Niemców i nie miała sił powstać, żeby się uwolnić od niemieckiej okupacji. W obronie "angielskiego nieba" pośpieszyli Polacy. Amerykanie zaś nie widzieli jeszcze w tej wojnie interesu dla siebie i nie spieszyli się przyjść Europie z pomocą - tak po latach komentowała matka. Musieliśmy się więc zdać na łaskę bożą i podczas świąt Bożego Narodzenia życzyć sobie, dzieląc się opłatkiem, żeby stał się cud.

To była druga gwiazdka na wygnaniu. Tym razem z choinką przyniesioną z pobliskiego lasu. Siostry powiesiły na niej wykonane własnoręcznie papierowe ozdoby. Z zainteresowaniem patrzyłem jak to robią. Ja też zrobiłem papierową gwiazdkę. Niezbyt kształtną, ale na choince zawisała. Ojciec mówił, że jest piękna. Potem pilnowałem, żeby któraś z sióstr jej nie usunęła.

Podczas wieczerzy wigilijnej było tylko jedno danie. Był to groch z kapustą i ziemniakami. Tę potrawę darowali nam gospodarze. Potem śpiewaliśmy kolędy. Chyba smutne, bo matka i siostry płakały.

Zimę z 40 na 41 rok przeżyliśmy jeszcze w Antoniewie. Nie pamiętam, czy było dużo śniegu i czy lepiłem bałwany. Sądzę więc, że nie cieszyłem się, jak może się cieszyć dziecko, gdy z nieba spadają płatki śniegu. Pamiętam jednak, że wtedy bardzo chciało się jeść i myślałem o dobrej wróżce - żeby sprawiła, że płatki śniegu zamienią się w płatki owsiane. Mama by upiekła na piecyku placki, a może nawet chleb, bo ona wszystko potrafiła.

- Podobno w mieście dają chleb na kartki.

Może postaraj się ojciec o pracę w Żarnowie, albo

Opecznie? Na kartki dają więcej chleba - przekonywała ojca.

- Przecież wiesz, że tu coraz trudniej i kartek na chleb ci nie dają..

Pensja ojca w Ghełstach niewiele różniła się wielkością od tej, którą dostawał przed wojną. Jednak te nowe 300 złotych z napisem "Bank Emisyjny w Krakowie" w Generalnej Guberni były nieporównywalnie mniej wartościowe od tych z orłem w koronie. Chociaż też miały nadruk w języku polskim. Nie wiem, ile za nie bym kupił cukierków. Chociaż już nie do nich powracałem myślą. Bardziej potrzebny stał się dla mnie chleb.

Pamiętam, że mama coraz mniej reagowała na moje ciche prośby o niego. Okazało się, że Nasza Kochana Matka stopniowo traciła słuch. Tym gorzej słyszała, im więcej pojawiała się na jej zatroskanej głowie siwizny. Jedno i drugie następowało szybko w wyniku trosk.

Najbardziej martwiła się, gdy nie miała z czego ugotować obiadu. Pytała się wówczas, czy mam apetyt na zupę z brukwi. Smak tej zupy pamiętałem z dnia poprzedniego, ale mówiłem "tak"!

Nie wiadomo kiedy nauczyłem się kłamać, żeby mamę nie wprowadzać w zakłopotanie. Tak bardzo nie lubiłem, gdy miała łzy w oczach.

Także ojciec przejmował się tym, co nas spotykało. Poszukiwał sposobów na wyjście z beznadziejnej sytuacji.

Matczyne rady o znalezieniu pracy w mieście, żeby dostać kartki na chleb - wziął sobie bardzo do serca.

Pod koniec tej zimy dowiedział się, że w Opecznie kierownikiem szkoły został jego kolega. Też nauczyciel wysiedlony

z powiatu leszczyńskiego. Z misją rozeznania udała się do
Opoczna najstarsza - Genia. Szła pieszo 30 kilometrów.
Wróciła po kilku dniach z radosną informacją, że naszego
ojczulka zatrudnią w tym mieście na etacie nauczyciela!

III. LUDZIE I BESTIE

Do Opoczna nasza rodzina przenosiła się z konieczności na raty. Gdy nadszedł termin wyjazdu i zajęchała podwoda, ojciec zachorował. Pomógł jedynie załadować nasz sromny dobytek i zasiał. Mama zdecydowała, że skoro już jesteśmy załadowani, to pojedziemy bez ojca. On został we wsi pod opieką Miry, by się wykurować. Gdy przyjechał do Opoczna, mama zdażyła zagospodarować nowe mieszkanie.

Kierownik szkoły, znajomy naszych rodziców sprzed wojny, przydzielił nam dwa małe pomieszczenia na piętrze w starym skrzydle budynku szkolnego. To był właściwie jeden, przedzielony ścianą z dykty na dwie części pokój. Kiedyś służył chyba za magazyn szkolny, bo na ścianach pozostały ślady półek. Wpatrywałem się w nie, leżąc na posłaniu i te ślady usiłowałem zliczyć.

W tym nowym mieszkaniu - jak relacjonowała starsza siostra - stał już stół i szkolne taborety. Ktoś zrobił nam z surowych desek trzy piętrowe łóżka. Cóż z tego, kiedy tyle nakryć na łóżka nie było... Jedno przy stole mama przydzieliła dla mnie. Siadałem na nim nawet do obiadu. Lubiłem to miejsce, bo było przy oknie, przez które mogłem się gapić na rynek. Na rynku - wiadomo, dzieją się różne ciekawe rzeczy. Choćby wówczas, gdy na targ przywożą zwierzęta.

W prowizorycznej kuchni znów stanęła "koza" z paleniskiem, dwiema fajerkami i rurą umieszczoną w ścianie. Przy niej grzałem się w chłody i wpatrując się w jej wnętrze pełne

żaru, wyobrażałem sobie, że to buchający parą parowóz. Ten z wiersza pana Tuwima, który mi ojciec deklamował z pamięci. Po rozlokowaniu się w nowym mieszkaniu mama zabrała mnie na zwiedzanie budynku szkolnego. Oprowadzała nas pani Klempiczowa, żona kierownika szkoły ze swoim synem Pawłem. Paweł był starszy ode mnie o 3 lata. On mnie wprowadzał w tajniki budynku. Imponował mi znajomością rozkładu pomieszczeń, korytarzy, schodów i strychu. Przechodząc koło drzwi jednej ze szkolnych salek dotknął palcem ust, nakazując mi uwagę i milczenie. W tym momencie drzwi się otworzyły i wśród odgłosów niemieckiej mowy ukazał się żołnierz wermachtu. Za nim wyłonił się drugi. Chciałem uciekać. Młody Klempicz chwycił mnie za poły i przytrzymał do czasu, gdy Niemcy skręcili na schody.

- Co oni tu robią? - spytałem szeptem.

- Pilnują - odpowiedział po cichu. Z karabinami - dodał.

Faktycznie. W jednej z klas byli zakwaterowani Niemcy. Było ich czterech, czasami więcej. Pilnowali magazynów ze zbożem, które sypano w przyzmy w klasach na parterze. Zwożono je z okolicznych wiosek. Ci sami wojskowi pilnowali także kopców z ziemniakami i wagonów z węglem na kolejowej bocznicy. Czasem wspomagali strażników w pilnowaniu ludzi z łapanki, których zamykano w sali na piętrze w końcu naszego korytarza. Ludzie ci czekali na transport do Rzeszy, na przymusowe roboty.

Prócz tych z wermachtu widywało się Niemców ubranych na żółto, w okrągłych czapach, w butach do kolan i swastyką na ramieniu. Mówiliśmy na nich "żółtki". Ci byli z formacji

SA - jak to określali starsi. Oni przede wszystkim pilnowali złapanych. Nigdy nie widziałem, by w tej "naszej" szkole kręcili się policjanci w granatowych mundurach. Później dowiedziałem się, że "granatowi", których widywało się z rzadka na opoczyńskich ulicach, to byli Polacy.

Po latach wyczytałem, że w Opocznie polscy policjanci nie byli darzeni zaufaniem przez władze okupacyjne, a nawet Niemców, którzy nie byli urzędnikami. Ci ostatni, wśród nich volksdeutsche, rozgromili podobno posterunek polskiej policji w grudniu 1940 r. w Tomaszowie Mazowieckim. W Opocznie natomiast mówiono o aresztowaniu dwóch granatowych policjantów, osadzonych o współpracę z polskim ruchem oporu. Jednego zamordowali w czasie przesłuchania w tomaszowskim gestapo, drugi zmarł w obozie w Oświęcimiu.

Tak więc do pilnowania "ważnych obiektów strategicznych" jakimi były dla Rzeszy kopce z ziemniakami i worki ze zbożem, Niemcy wyznaczali swoich.

Jak zdążyliśmy później doświadczyć i zaobserwować, niektórzy "pilnowacze" z wermachtu, to byli ludzie, którym ich wódz nie ufał i z tego powodu, w pierwszym okresie wojny nie poszli na front.

Trzech takich zapamiętałem. To byli z tych nielicznych wówczas żołnierzy, którzy stali się wrogami zarówno wojny jak i faszyzmu. Bastek i Słomia przychodzili nawet na pogaduszki z ojcem do naszego mieszkania. Mówili trochę po polsku. Pierwszy pochodził z okolic Opola. Drugi urodził się w Czechach. Ojciec mój częstował ich przydziałową wódką, którą dostawał wraz z pensją jako deputat.

Był jeszcze trzeci żołnierz ubrany w mundur wermachtu, który należał do tej grupy. Nazywał się Paslik i pochodził ze Śląska. On jednak krótko przebywał w Opocznie. Początkowo stosunek moich rodziców do tych wojaków był nieufny. Ich wizyty u nas wzbudzały w pierwszym okresie niepokój i podejrzenia. Jednak ich swobodne zachowanie się, zwierzenia i wypowiedzi na tematy polityczne a zwłaszcza okazywana wrogość do Hitlera i faszyzmu spowodowały, że nieufność do nich topniała. U ojca wcześniej niż u naszej mamy. Niechęć do nich i obawy naszej matki przełamane zostały dopiero wówczas, gdy zaczęli wspomagać - jak tylko mogli - nasz biedny dom. Różne to były formy pomocy. Zawsze bezinteresowne.

Przychodząc do naszego mieszkania, przynosili węgiel. Siadali potem przy rozgrzanym do czerwoności piecyku i rozprawiali głośno. Kiedyś Bastek będąc podpity, zasnął na taborecie przy naszej "kozie", zapewne po nieprzespanej nocy. Nim poczuliśmy swąd, jego płaszcz dobrze się nadpalił. Był wdzięczny za zbudzenie i tym samym uratowanie służbowego okrycia.

Z czasem pozwolili mamie lub siostrze nabrać zboża do konewki, w której przynosiliśmy zazwyczaj wodę. Konewka nie wzbudzała podejrzeń u innych strażników, a moment pobierania z przyzmy znajdującej się w magazynie był wyznaczany najczęściej przez Bastka. Najczęściej było to w porze obiadowej, gdy w szkolnej salce przeznaczonej na magazyn był tylko Polak trudniący się ważeniem, rejestracją i wysypywaniem z worków zboża.

Był to nasz znajomy, także wysiedlony z Wielkopolski.

Dzięki temu "podkradaniu" rodzina miała dodatkowy, pozakartkowy chleb. Zboże wynosiła moja najmłodsza siostra do piekarni z napisem "Jude" i opatrzonej gwiazdą Dawida.

Początkowo można tam było iść bez narażenia się na utratę życia, uważając jedynie by nie być na tym złapanym. Wkrótce jednak piekarnia ta - jak wszystko co żydowskie - znalazła się w obrębie utworzonego getta. Wejście tam zostało zakazane pod groźbą utraty życia na miejscu.

Getto w Opocznie powstawało - o ile dobrze pamiętam - latem 1941 r. Swoje przypuszczenie opieram jedynie na tym, że było ciepło, bo z innymi chłopcami biegałem boso w pobliżu stawianych ogrodzeń. Przepędzono nas z tego rejonu. Uciekając, mocno skaleczyłem nogę na gwoździu wystającym z deski. Rana później ropiała.

Żydowską dzielnicę mieszkaniową ogradzano drewnianym płotem. Zwłaszcza tam, gdzie były wloty ulic. Dodatkowo "uszczelniano" go zasiekami z kolczastego drutu. Także okna i drzwi wychodzące na ulice, które były granicą getta, zakryto deskami lub blachą.

Nie pamiętam, czy było dużo wejść na teren żydowskiej dzielnicy. Jedno z nich zapamiętałem. To była brama z desek, od ulicy Radomskiej, w pobliżu opoczyńskiego zamku. Tu ruch był stosunkowo duży. Tą właśnie ulicą zjeżdżały furmanki na targowisko i tędy szło się na jedyny most drogowy na rzece Drzewiczce.

Tworzenie getta w Opocznie pociągnęło za sobą ofiary wśród Żydów. Pewnego dnia usłyszeliśmy strzelaninę między

domami zapędzonych tam Żydów. To podobno specjalna jednostka niemieckiej policji z Radomia i żołnierze wermachtu strzelali w tłum Żydów, który uległ panice. Zginęło wówczas około 100 osób. Część z nich poległa w ogrodzeniu, część po przekroczeniu wyznaczonej dla nich granicy śmierci.

Najstarsza z moich sióstr opowiadała, że jeszcze na drugi dzień napotkała ciało zabitej Żydówki w pobliżu rzeki. Gdy się zbliżyła, ujrzała maleńkie, nieżywe dziecko przy jej piersi. Potem Niemcy kazali wywozić ludzkie zwłoki z getta i miasta. Getto było niedaleko od szkoły. Tylko rynecek oddzielał szkolny parkan od domów zamieszkałych przez Żydów. A rynek miał nie więcej jak 100 metrów szerokości. Zapamiętana brama była nieco dalej. Początkowo pilnowali ją niemieccy zandarmi. Później zastąpili ich Ukraińcy z oddziałów, które przeszły na stronę wojsk niemieckich. Pamiętam ich "trójzuby" - jak je nazywali wtedy.

Myślę, że pilnujący bramy nie byli sumienni, bo czasem opuszczali posterunek. Wtedy, gdy wejście nie było pilnowane, nasza Terenia wchodziła do getta. Najczęściej jednak przeciskała swoje drobne ciało przez otwór w ogrodzeniu, zasuwając za sobą wejście deską. Tą drogą wносиła tam woreczki ze zbożem. Nieduże. Ważyły chyba z 6 funtów. Za tą ilość dostawała od Żydówki bochenek chleba. To była starsza pani. Jej mąż był w getcie piekarzem.

Towarzyszyłem czasami siostrze w jej niebezpiecznych wyprawach. Oczywiście za zgodą rodziców. Ale do środka nie pozwalano mi wchodzić. Czekałem na zewnątrz na powrót Teresy. Sądzę, że w przypadku jakiegoś nieszczęścia miałbym powiado-

mić rodziców. Lecz nikt mi takiego zadania nie zlecał.

Na szczęście nigdy nie było wpadki. Siostrzyczka jakimś cudem zawsze powracała żywa. Wiedziała, którędy jest wyjście z getta i unikała niebezpieczeństwa. Przeciskała się przez otwór w płocie tak niepostrzeżenie i szybko, jak duch żaki. I nigdy nie zgubiła chleba! Później zdałem sobie sprawę z tego, że mogła zginąć od niemieckiej albo ukraińskiej kuli. Genia widziała, jak zastrzelono chłopca, który przekraczał zakazaną przez okupanta granicę. To była granica śmierci. Po jej obu stronach ginęli ludzie. Jedni wewnątrz - w wyniku głodu, chorób i niemieckich polowań na człowieka. Drudzy na zewnątrz, bo nie przestrzegali zakazów, nakazów i pouczeń okupanta.

Jedno z takich "pouczeń" spisałem niedawno, będąc w opoczyńskim muzeum. Z kopii ogłoszenia wydrukowanego w "dystrykcie" radomskim i rozwieszanego przez władze niemieckie na ulicach, spisałem co następuje:

"Kto udziela żydom pomieszczenia i żywności lub sprzedaje żydom środki żywnościowe, będzie karany śmiercią. Pouczenie jest ostateczne". Pod tym podpisał się "Stadtkomisar".

Po przeczytaniu tego uznałem, że moja siostra była naprawdę bohaterką. Narażała się przecież na utratę życia, wnosząc do getta zboże.

Innym niebezpieczeństwem, była panująca wtedy w domach żydowskich zaraza. To był tyfus plamisty, na który ludzie umierali masowo. W okresie od lata 1941r. do połowy 1942r. moja siostra przekraczała granice życia i śmierci dziesiątki razy.

Częstotliwość wypraw do getta zależała od możliwości zdobywania zboża, które Żydzi mieli u siebie na mąkę i wypiekali chleb.

Był okres, że Teresa przemycała zboże do getta nawet co dzień. To na skutek niespodziewanej hojności Bastka i Slomy. Pewnego dnia wnieśli do naszego mieszkania dwa spore worki żyta. Matka się tym przeraziła. Niemcy rozweseleni alkoholem oświadczyli mamie, rzucając na łóżko worki, że zrobili kawał Hitlerowi. "Teraz, mając mniej chleba, szybciej się wykończy!" - krzyczeli chichocząc. Zawartość tych worków należało szybko upłynnić. Nie daj Boże, gdyby to odkryto przy okazji jakiejś policyjnej rewizji. Takie przeprowadzali bandarni i policje z hyle powodów. Zwłaszcza, gdy poszukiwali kogoś, kto związał im z grupy przeznaczonych na wywóz do Niemiec.

Dziś na podstawie czynu i zachowania się Bastka i Slomy mogę się domyślać, że wiedzieli, po co nasza rodzina wynosi z magazynu zboże i gdzie ono potem trafia. Chociaż rodzice mówili mi po wojnie, że fakt wynoszenia zboża do getta, by zamienić je tam na chleb - był największą tajemnicą rodziny.

Dowiedziałem się także, skąd się wzięła przychylność tych dwóch żołnierzy wermachtu dla nas. Otóż rodzice Slomy, podczas utworzenia przez Niemców "Protektoratu Czech i Moraw" należeli do tej grupy Czechów, którzy stanęli w szeregu antyfaszystów. Udało im się uciec do Francji. Nasz znajomy pozostał przy swojej żonie i dziecku w Pradze. Potem znalazł się wbrew własnej woli w wermachcie. Natomiast Bastek miał brata komunistę. Z tego powodu brat został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau jeszcze przed wybuchem wojny. Bastek dowiedział się o jego śmierci w zimie 1941 roku.

Także w Dachau został zamordowany brat mojego ojca. O tym dowiedzieliśmy się na wiosnę tego samego roku. Los, jaki zgotowali faszyci, zrównał więc polskiego księdza z Niemcem - komunistą, a ich bracia przestali być dla siebie wrogami.

Mimo że Bastek wyalienował się z armii niemieckich okupantów, bałem się go, bo miał taki sam mundur jak ci, co prowadzili nas w Lesznie do pociągu trzymając psy na uwięzi. Różne uczucia wzbudzał we mnie taki mundur. Z jednej strony, patrząc na niego odczuwałem strach i wrogość, z drugiej zaś, imponował mi jako dziecku. Podziwiałem żołnierski ekwipunek. Zwłaszcza pas, do którego przypięty był bagnet. Cśmielony spytałem, co znaczy napis na sprzączce - "Gott mit uns". To znaczy "Bóg z nami" - usłyszałem w odpowiedzi. A więc oni chodzą z Bogiem na brzuchu? - wyrwało mi się w duszy ... Przez te mundury, bagnety i te pasy, tacy wszyscy do siebie podobni.

Na skutek tego podobieństwa, ~~o~~ mało co utracilibyśmy z siostrą życie. To było jesienią 1941 roku. Bastek powiadomił ojca, że tego wieczoru będzie pilnował na boczniczy kopce z kartoflami. Gdy on stał tam na warcie, szło się po ziemniaki bez obawy. Bastek udając, że nie widzi "porywaczy" w rzeczywistości dbał, żeby ładującym pyry do torby nie stała się krzywda. Wtedy siostra zabrała mnie tam ze sobą po raz pierwszy.

Do stacji kolejowej szliśmy blisko dwa kilometry. Potem przeskoczyliśmy jakieś ogrodzenie w ciemności, by pokonać kilka szyn. Dotarliśmy do kolejowej rampy. Tam przyczajeni,

ujrzeliśmy spacerującego żołnierza wermachtu. W słabym świetle kołyszącej się na słupie latarni jego sylwetka niczym się nie różniła od sylwetki Bastka. Ruszyliśmy więc śmiało do kopca. Wówczas Niemiec odwrócił się nagle i krzyknął "halt!" Zorientowaliśmy się, że to nie Bastek. Siostra szarpnęła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Po kilku susach byliśmy za jakimś wagonem. Niemiec zarepetował karabin. Ruszył w naszym kierunku i zaczął się rozglądać za nami. Uratował nas nadjeżdżający z ciemności pociąg, który niespodzianie oddzielił nas od Niemca. Mogliśmy uciekać przed siebie. Okazało się potem, że Bastek nagle zachorował i przy kopcu na wencie stanął inny, nieznanym nam żołnierz wermachtu.

- Tylko nie mów nikomu, że chciałem do was strzelić, bo wystraszysz mamusię i cię więcej ze mną nie puści! - powiedziała w drodze powrotnej siostra. Język mocno świerzbiał, żeby opowiedzieć o zdarzeniu z uzbrojonym wrogiem, ale długo milczałem.

Tej samej jesieni zacząłem chodzić do szkoły. Bez uprawnień, bo nie "zapisany". Jako "wolnego słuchacza" zabierał mnie ojciec i sadzał wśród pierwszoklasistów. Słuchałem, jak ich uczył pisać, czytać i rachować. Ostrzegł, bym nie przeszkadzał. Na wszelki wypadek, abym się czymś zajął i siedział spokojnie, wręczył mi tabliczkę, rysik i ściereczkę.

W takie właśnie przybory był wówczas wyposażony każdy pierwszoklasista w polskiej szkole, w "Generalgouvernement" czyli w Generalnej Guberni.

Na lekcje początkowo uczęszczałem nieregularnie. Jednak ojciec szybko odkrył we mnie zdolności. Wnet prześcinałem

starszych od siebie "prawdziwych" uczniów. Nauczyłem się czytać i rachować patyki. Polubiłem to bardzo. W domu dobie-
rałem się do jakiejś książki Teresy i czytałem objaśnienia pod obrazkiem. To była książka o zwierzętach. Dzięki temu prędko nauczyłem się czytać całymi zdaniami. Potem dawali mi "Ster" do czytania. To było jedyne czasopismo drukowane po polsku dla dzieci. Mama była zadowolona, że chłopiec chodzi do szkoły. "Bo przynajmniej nie zbija bąków i nie szwenda się po ulicy z jakimiś drabami" - mówiła.

Wtedy, już jako sześciolatek miałem zainteresowania, które nie mogły być zbywane matczyną bajką. Nie mając zabawek, jak każde dziecko w tym wieku nudziłem się w domu okrutnie. Dla mnie kolejką na szynach w tym czasie mogły być jedynie kamienie bądź bryły węgla. Pchane po deskach podłogi brudziły. Szyny zastępowały szpary w podłodze. Czasem "budowałem" jakiś pojazd z kawałków drewna znoszonych z ulicy, albo zwykłych patyków ze szkolnego dziedzińca. Z braku brulionu i zeszytu, o które w czasie wojny było trudno - malowałem węglem i skamieniałą gliną po bokach łóżka. Czasem też na ścianie.

Wszystko to przysparzało mamie dodatkowej roboty przy sprząnianiu. Tak więc to moje wychodzenie do szkoły pod opieką taty, było wyjściem z dodatkowych kłopotów, jakie mógł sprawić matce jej synek w godzinach porannych.

Lekcje, w których uczestniczyłem, trwały krótko. Dwie, a najwyżej trzy godziny dziennie. Okupant zadbał, żeby "przyszłość polskiego narodu" nie była zbyt wykształcona.

Zgodnie z filozofią Niemców jako "nadludzi" Polak miał się nadawać do pracy fizycznej i nic poza tym. Dlatego też lekcje Teresy w piątej i szóstej klasie nie trwały długo. Wielu przedmiotów, których uczą się normalnie dzieci w klasach starszych, wówczas wykreślono z programów. Nauczanie historii Polski było wręcz zakazane. Podobnie rodzimej literatury czy geografii Polski.

Nasz ojciec douczał Teresę. Także niektóre jej koleżanki z klasy i innych młodych ludzi. Uczył właśnie tych przedmiotów, tu zakazanych przez władze niemieckie. Aby uczyć, chodził do domów, w których mieszkali. Rzadziej oni przychodzili do nas. Nigdy nie twierdził, że brał udział w "tajnych kompletach" i nie korzystał z tego powodu po wojnie z przywilejów.

Rodzice uczniów wynagradzali naszego ojca ~~przeważnie~~ w naturze. Dzięki temu mieliśmy trochę pozakartkowej żywności. Była to kasza, mąka, bochenek chleba, a nawet kawałek ochłapu z rzeźni, bo wśród uczniów był synek pracownika masarni.

Spośród "douczanych" najbardziej zapamiętałem koleżankę Teresy - Bożenę Malerowiczówną. Ona gościła u nas najczęściej i razem z moją siostrą uczyła się pod okiem naszego ojca.

Ojciec Bożeny prowadził w Opocznie sklep pszczelarski i punkt skupu miodu. Przyjeżdżali do niego właściciele uli. Skupowany miód musiał rejestrować, porcjować i oddawać Niemcom. Nie mógł sprzedawać Polakom. Tego mu zakazali surowo. Sklep pszczelarski był na rogu pobliskiej ulicy. Dom, w którym się mieścił zapamiętałem doskonale. W kilkadziesiąt lat po wojnie trafiłem do niego bezbłędnie.

Chodziłem tam w czasie okupacji często, bo od naszego domu było bardzo blisko. Przyciągał mnie ten słodki zapach miodu. Bawiłem się chętnie z 5 letnią wtedy córką sklepi-
karza. Miała na imię Marylka.

Siadaliśmy razem na ławce pod ścianą sąsiedniego domu w cieniu starej śliwy i opowiadaliśmy o swych dziecięcych przygodach. Przypatrywałem się z zainteresowaniem, jak jej bracia produkują pastę do butów. Gotowali w kotle na podwórzu jakieś tłuszcze, potem mieszcili to z sadzą i na koniec wle-
wali topiony воск. Uzyskaną w ten sposób pastę wlewali do naczyń i sprzedawali. Siedząc tam, nie zdawałem sobie sprawy z początku, że siedzą oparty o granice getta.

Nieco usłyszeliśmy przetrząsy głos - "dajcie kawałek chleba". Spojrzałem w kierunku, skąd było słychać nieśmiały głos dziecka. Wśród gałęzi śliwy wspartych na dachu stał chłopiec w moim wieku. Może tylko wyglądał na mojego równieś-
nika. Na strzępach rękawa zobaczyłem opaskę z żydowską gwiaz-
dą. Jego duże, niespokojne oczy patrzyły jak w gorączce. Były tak niezwykle, że musiałem je zapamiętać.

Po chwili obok niego pojawił się jeszcze mniejszy, ale też z taką opaską na rękę. Powtórzył prośbę o jedzenie.

Prośbę usłyszał młodszy z Malerowiczów, co się krzątał przy kotle w kącie małego podwórka.

- Ooo! Żydki - krzyknął. Chodźcie tu do nas. Zatańczycie to dostaniecie coś do gęby.

- Nie wolno nam wchodzić na wasze, bo nas zastrzają.

- Za co? - wyrwało mi się.

- Nie wygłupiaj się Bogdan - przerwał starszy Malerowicz.

- To grzech, żeby za kawałek chleba żądać od nich przedstawienia, wstydź się! - skarcił Bogdana jego starszy brat. Potem pobiegł do domu i przyniósł dwa kawałki plastra z miodem. Podał im i kazał wracać drogą przez dach.

- Chleba też nie mamy - dodał na usprawiedliwienie. Szybko zniknęli z gałęzi i dachu. Byli bardzo zwinni. Może strach uczynił ich takimi skoczkami, a może pragnęli czym prędzej dorwać się do miodu. Ja też, gdy czasem dostałem taki plaster, sączyłem szybko, nie bacząc, że połykam miód z woskiem.

Te małe żydowskie, chudziutkie istoty widziałem jeszcze kilka razy. Lecz później, gdy opadły robaczywe i przedwcześnie dojrzałe śliwki, słyszeliśmy za tym domem strzały. Po latach dowiedziałem się, że urządzano tam polowania na Żydów, którzy uciekali w panice z getta. A ci mali z opaskami już przez dach nie przeskoczyli więcej...
Wcześniej, bo już w pierwszej połowie 1942r. nastąpiło kilka zmian w naszym życiu na wysiedleniu.

Pod koniec zimy nasi jedyni niemieccy przyjaciele - Słoma i Bastek - opuścili Opoczno. Wraz z nimi także inni żołnierze wermachtu, którzy byli zakwaterowani w szkole. Prawdopodobnie wysłano ich na front, by uzupełnić luki w szeregach niemieckiej armii na wschodzie.

Teraz znów zaczęło nam brakować opału i nieznośny głód dokuczał na nowo. Zabrakło węgla i kartofli z kolejowej boczniczy. Tam zamiast Bastka i Słomy stanęli inni na straży.

Wczesną wiosną moja średnia siostra wyjechała do Radomska. Tam zatrzymali się nasi bliscy krewni, wysiedleni w Poznania. Oni przygarnęli Mirę i dali pracę. Dzięki temu ubyła jedna

głodna istota przy rodzinnym stole i teraz nie trzeba było dzielić chleba na sześcioro.

Najstarsza siostra, dzięki znajomościom z Malerowiczami, zwłaszcza przyjaźni Teresy z Bożeną, została zatrudniona w sklepie pszczelarskim. Oprócz pieniędzy, dostawała kartki na żywność, której nam przecież bardzo brakowało. Można było teraz, choć trochę zwiększyć porcje w rodzinie.

W moim osobistym życiu nastąpiło ważne wydarzenie. Za zgodą znajomego kierownika szkoły, z którym ojciec przyjaźnił się zostałem potraktowany na koniec roku szkolnego jako pełnoprawny uczeń pierwszej klasy. W czerwcu otrzymałem pierwsze świadectwo uczenia szkoły. To świadectwo - jak wynikało z treści zapisu, upoważniało mnie do zajęcia miejsca w nowym roku szkolnym w ławce drugiej klasy.

Tymczasem w szkole, w której mieszkaliśmy, korytarz został odgrodzony ścianą. Za nią dwie sale zostały zajęte przez Niemców na areszt. Wejście do tej części, nawet od strony podwórza było wzbronione. Pilnowali tego uzbrojeni Niemcy w mundurach zielonych lub żółtych. Początkowo nie wiedzieliśmy, po co zostały wzmocnione straże i środki bezpieczeństwa. Za ścianą na korytarzu można było słyszeć rozkazy Niemców i czasem jęki bitych ludzi. "To ludzie z łapanek organizowanych na ulicach miasta i z pacyfikowanych wsi" - dowiedział się od kogoś ojciec.

Wtedy wolno mi się było jeszcze bawić na szkolnym dziedzińcu. Było lato, więc chętnie biegałem po dworze. Nie byłem sam. Do zabaw dołączali się moi rówieśnicy. Podczas zabaw

w chowanego za miejsce ukrycia służył między innymi drewniany ustęp w rogu podwórza. Tam skryty, przeżyłem kiedyś niezwykłą przygodę. Do sąsiedniego "przedziału" został wprowadzony pod karabinem aresztant. Słyszałem jak stęka i jęczy. Tym zagłuszał zgrzyt podważanych desek. Zachowywałem się jak mysz pod miotłą. Na wyjście brakło mi odwagi. Po pewnym czasie, zniecierpliwiony strażnik w żółtym mundurze, wyważył drzwiczki ustępu i zaklął po polsku - widząc pustą klozet. Nerwowym ruchem otworzył mój "przedział" i kierując lufę w moim kierunku, wrzasnął: "Wyłaź!". Sziały mnie pewnie za aresztanta ogłupiały folksdojcz!

W związku z tą ucieczką, ubikacja w podwórku została zlikwidowana. Przymusowi lokatorzy aresztu skorzystali na tym. Odtąd mogli się załatwiać w szkolnym klozecie. Wygodnie i ciepło.

Zamknięci w szkole, oczekując na transport, którym wywożono - sądzą tych z łapanki na roboty do Niemiec, szukali różnych sposobów, by odzyskać wolność. Jednym z najprostszych, a początkowo skutecznym sposobem były skoki z piętra przez okno. Nie bali się, że kości połamią. Wnet miejsce pod oknami zabezpieczono zwojami kolczastych drutów. Żeby desperat w nich się zaplątał i skutecznie pokaleczył.

W Opocznie sporo mówiono na temat takich ucieczek. Okupanci niezbyt mogli z tym sobie poradzić. Brakowało im strażników. Wojsko z dnia na dzień było bardziej potrzebne na froncie wschodnim. Pozostali tacy z SA, folksdojcz, którzy na służbę do pilnowania przychodzili prosto z domów. Jeden z takich pewnego razu, spiesząc się na obiad do domu,

zapomniał zaryglować drzwi do sali. Gdy wrócił, sala już była pusta. Biegał po boisku, zaglądał w różne zakamarki, kłął przy tym ze złości i strachu. Nawet do naszego mieszkania wtargnął na przeszukanie. Potem się już więcej nie pojawił. I nie wiadomo, czy został za swoją niedbałość ukarany więzieniem, czy może zasilił szeregi naszych partyzantów, nie mając innego wyjścia. Co do jednego można być pewnym, że wielu tych, którym udało się wtedy wymknąć, zamiast do domu, poszli do lasu. Jednym z takich był nasz znajomy - imię nie pamiętam. Po tej niespodziewanej ucieczce całej grupy, niemal w samo południe, władze niemieckie wzmocniły strażę. Skąd ich się wzięło nagle więcej, nam nie było wiadome. Ktoś mówił, że to żandarmi z Radomia. Wioskować można z tego, że Niemcom bardzo zależało na sile roboczej.

Kiedyś w łapance pojmano nawet moją najmłodszą siostrę. Na wieść o tym w domu powstał lament. Na zwiady wysłano starszą siostrę, żeby się dowiedzieć, gdzie tą małą wywiozą. Czy na punkt przejściowy do naszej szkoły, czy na wschód do kopania transzei, czy od razu na zachód, do roboty u niemieckiego bauera. Mogło być jeszcze gorzej, bo do obozu koncentracyjnego. Wszystko zależało od tych, co segregowali z łapanki. Jak ją przywiozą na "punkt przejściowy" do naszej szkoły - to ją uwolnię - pojawił się nawet pomysł. Teresa na szczęście wróciła cała i zdrowa. Wystraszona, ale wolna. Przy segregacji, niemieccy żandarmi uznali, że taka mała chudzina do niczego się nie nadaje. A z jej powrotu ja się najbardziej cieszyłem, bo tylko z nią mogłem się jeszcze w domu bawić.

Także na boisku szkolnym, gdzie na utwardzonej ziemi grałem z nią "w klasy". Zwłaszcza gdy nie było do tej zabawy kompletu jej koleżanek. Pamiętam, że nie zawsze brały mnie do swojego towarzystwa. Wtedy albo szukałem rówieśników, albo sam dla siebie wymyślałem zajęcia. Jednym z ulubionych moich zajęć było majsterkowanie.

Nie przypominam sobie kiedy i w jakich okolicznościach zawarłem znajomość ze stolarzem. Musiał to być dobry człowiek i to z tych, którzy w każdym malcu widzą kandydata na terminatora w stolarskim fachu i przyszłego mistrza. Pozwolił patrzeć z bezpiecznej odległości jak się tną, hebluje i składzi elementy z drewna. Z nich kleił i robił przeróżne przedmioty domowego użytku. Z jego warsztatu mogłem za jego zgodą, wnosić drobne obrzynki, potrzebne mi wióry i kawałki zbytecznych mu desek. Nawet skrawki fornieru i okruchy stolarskiego kleju.

Te zbędne stolarzowi odpady, to dla mnie klocki. I nie tylko układając je, tworzyłem miniaturowe mebelki a z czasem ołtarze. Na wzór tych, które widziałem w nowym, opoczyńskim kościele. Staralem się to wszystko upiększać cienkimi skrawkami fornieru i łączyć w jedną całość przy pomocy kleju.

Z tym klejem było wiele ambarasu. Ażeby uzdatnić go jako spoiwo, smażyłem kawałki na piecyku obok matczynych garnków. Smród był przy tym taki, jakby kto palił końskie kopyta.

Na szczęście mama nie robiła z tego powodu awantury i nie wypędzała syna z domu razem z tym cuchnącym klajstrem. Tylko wietrzyła mieszkanie, bo wierciło ją w nosie. Sądziła też chyba, że wnet mi przejdzie zainteresowanie stolarką

zwłaszcza, że zbliżał się termin rozpoczęcia nauki w szkole.

Niestety we wrześniu nowy rok szkolny 42/43 wtedy się nie rozpoczął. Decyzją władz niemieckich klasy w naszej szkole zamieniono w jakieś wojskowe pomieszczenia. Nawet część naszego korytarza odgrodzili szczelną zasłoną. Wstęp do tamtej części budynku został nam zabroniony. Mogliśmy wchodzić tylko jednym wejściem od podwórza. .

Któregoś dnia wczesnej jesieni 1942 roku, zakazano nam opuszczać mieszkanie. Wtedy od rana na rynek widoczny z naszych okien zaczęto spędzać mieszkańców. Pojedynczo i chyba rodzinami, bo byli starcy i dzieci. Bito ich przy tym, popędzano kulkami karabinów, kopano. Gdy usłyszeliśmy pierwsze strzały, matka zabroniła mi zbliżyć się do okien. W domu zapanała trwoga. Każde z naszej rodziny patrzyło niespokojnym wzrokiem. Siostry na rodziców, rodzice na mnie i na siebie. W powietrzu zawisło pytanie: co będzie z nami? Może dołączą nas do nich? Tymczasem do nich strzelali. Mówił o tym ojciec, który ostrożnie zerkał zza okiennej futryny. A my słyszeliśmy huk i okrzyki.

Nastąpiła chwila, gdy nie mogąc opanować ciekawości wykorzystałem to, że rodzina się modli i przysunąłem się do okna. Spojrzałem w kierunku, gdzie strzelił niemiecki żołnierz. Młoda Żydówka upadła. Z jej bezwładnych już rąk wysliznęło się malutkie dziecko. Czołgało się nieporadnie na czworakach. Chciało wrócić zapewne w ramiona matki i zaczęło pełznąć w jej kierunku. Niemiec celował tam karabinem. Nie strzelił! W kierunku maleństwa wypuścił wilczura ...

Wtedy zasłoniłem rękami oczy i zacząłem krzyczeć. Ten krzyk przerwał rodzinną modlitwę. Matka tuląc mnie do siebie usłyszała mój szept: "za co? za co?"

Dopiero przed zachodem słońca, zrobiło się cicho na rynku. Tylko stamtąd, gdzie opoczyński dworzec, dochodziły nas pojedyncze strzały. Ale rzadko. Zapewne w szeregach pędzonych Żydów pozostali już tylko ci, co mieli siłę iść dalej. Już nie łamali dyscypliny zaprowadzonej przez swoich katów.

Na drugi dzień z rynku i z ulicy wiedzącej na dworzec zbierano zabitych. Powrzucano ich na wozy i wywieziono z miasta.

Na ulicy zaprowadzono niemiecki porządek.

Scena z dzieckiem i niemieckim psem, zakodowała się mocno w mojej pamięci. Nawet po latach, gdy umierałem na zapalenie płuc i straciłem na wiele tygodni przytomność, pojawiła się znowu.

Tylko tych małych, bezbronných dzieci pojawiło się więcej.

I leżały martwe na stosie.

IV. MIESZKANIE PRZY SZPITALNEJ

Decyzją władz niemieckich budynki opustoszałego getta zaczęto zasiedlać Polakami. Tylko w nielicznych żydowskich kamieniczkach pozostali ich pierwotni właściciele. To Żydzi, którzy dzięki swemu majątkowi, mogli sprostać "wymogom" Niemców. W zamian za kosztowności, pozostawiono ich na miejscu. Sądzili chyba, że za złoto nie zostaną wywiezieni, jak tamci. Okazało się potem, że zostali oszukani. Ludność ich rzekomo wysiedlaną na niemieckich jeńców wojennych, obrabowano z majątku i w ramach akcji "Palestyna" wywieziono ich dwa miesiące później do getta wiedeńskiego. "Yca: Oporana umiesteront 5.1.1943" w Ujeździe k./Lomaszowa, by po jakimś czasie wywieść do obozu koncentracyjnego, albo uśmiercić na miejscu.

Jedną z takich bogatych Żydówek, która pozostała, odwiedzaliśmy z Terenią wówczas, gdy bolały nas zęby. Miała niezwykle dar, jaki rzadko spotykałem później u innych dentystów. Potrafiła bardzo sugestywnie i kojąco wpływać na swoich pacjentów. Tak bardzo, że nie bałem się wiertła w jej ręce.

Ona wiedziała, że dokucza nam głód i jesteśmy wysiedleni. Fewnie dlatego częstowała nas kanapkami. Radziła też, co robić, by wyleczyć się z paradontozy.

Jej mąż był Polakiem. Teresa wspomina go jako przystojnego mężczyznę. Nazywał się Srebrny. Związek małżeński zawarli w katolickim kościele. Może dlatego nie wywieziono jej z innymi

Do gabinetu stomatologicznego mieliśmy niedaleko.

W tym okresie, wyrzuceni ze szkoły, zostaliśmy zmuszeni do

zamieszkania w budynku na terenie zlikwidowanego getta. Nasze "nowe" mieszkanie znajdowało się przy ulicy Szpitalnej. To były dwa pomieszczenia w rogu piętrowej kamieniczki, gdzie kiedyś był sklep z zapleczem. Na zapleczu mama urządziła kuchnię. I znów z "kozą"!

Bezpośrednio z kuchni wychodziło się na mroczny korytarz. Miał dwie bramy z dziurawych desek. Jedna wychodziła na ulicę, druga na podwórze. W podwórzu pełnym rupieci, między którymi grascwały szczury, stał drewniany przybytek. Z niego korzystali wszyscy mieszkańcy kamienicy - Polacy z różnych stron. Przeważnie wysiedleńcy - jak my - z Wielkopolski. Była też rodzina z Hilgeraja i ze wsi, którą spalili Niemcy.

Już jako mieszkaniec "spolszczonego" getta zacząłem znowu uczęszczać do szkoły. Innej, niż ta, do której chodziłem w pierwszej klasie. Teraz szkołę uruchomiono w starym, podłużnym budynku, w którym był poprzednio żydowski, zakaźny szpital dla chorych na tyfus plamisty.

Matka bała się posyłać mnie tam po nauki. Myślała, że w tych murach tkwi jeszcze zaraza. I ja bałem się także. Zapewne pod wpływem opowiadania o śmierci, która przychodzi po ludzi z wszami przenoszącymi zarazki tyfusu. Rozglądałem się więc niespokojnie, siedząc w ławie szkolnej, czy coś nie łązi po ścianie. Chwilami wydawało mi się, że coś się przeciska w szparach podłogi, żeby zaatakować od nóg. Przeżyłem jednak i to. I nie pamiętam przypadku, żeby wówczas ktoś z moich kolegów zachorował na tyfus plamisty. Byli jednak tacy, którzy ogoleni "na glace" dziwnie pachnieli.

Podłoga w klasie była nasączona naftą, a ściany cuchnęły "karbolem". Tak nazywaliśmy mieszaninę fenolu z krezolem służącą do tępienia insektów.

Dodatkowo przykry zapach pochodził od gazowni. Stała nieopodal szkoły też przy tej samej ulicy. Gdy od niej wiał wiatr, przez szpary w oknach wdzierał się kwaśny odór. Aż mdliło. Musiały być tam nieszczelne urządzenia i rury, bo budynek gazowni to była ruina.

Mimo tej uciążliwości, można było tę wytwórnię gazu dobrze wspominać w naszej rodzinie. Stamtąd ojciec przynosił węgiel do domu. Otrzymywał go od kierownika gazowni w zamian za korekty, jakich udzielał jego dziecku. Dzięki temu w naszym mieszkaniu było dość ciepło, mimo nieszczelnych okien i drzwi. Od podłogi wiało chłodem, bo pod nią znajdowała się piwnica.

Do piwnicy było wejście pod naszymi łózkami, zasłonięte zbutwiełą pokrywą. Nikt z nas tam nie wchodził. Nie mieliśmy zapasów, żeby je składać. Zresztą, nawet gdyby były, nikt by się tam nie odważył ich złożyć, bo pod podłogą kwiczały szczury. Matka mówiła, że z "tymi stworami mieliśmy trzy światy!" Potrafiły wiercić dziury w podłodze i przez nie wciągać, co tylko mogły. I na nic zdało się uszczelnianie blachą. W kolejną noc dziury wygrzyzione zostały w innym miejscu i znów w mieszkaniu słychać było odgłosy gryzoni. Były bezczelne i sprytniejsze od ludzi. Przed snem trzeba było chować wysoko, pod sufitem nie tylko żywność. Także obuwie i drobniejszą odzież. Kawałek chleba - jeśli taki został - trzeba było

dotatkowo zabezpieczyć w metalowej puszcze.

Któregoś poranka mama szukała swych pantofli. Zapomniała z wieczora je należycie schować. Ich kawałki znalazła przy dziurze za szafą. Postanowiłem pomścić rozpacz matki.

Tego dnia, wracając ze szkoły, zobaczyłem na murku kota. Przyniosłem go do domu i w tajemnicy przed rodzicami, wpuściłem go przez otwór do ciemnej piwnicy. Kot widzi w nocy i ma ostre pazury, to się tam szybko rozprawi ze szczurami - pomyślałem usatysfakcjonowany i wyszedłem bawić się z rówieśnikami. Przeliczyłem się w ocenie. Po powrocie z zabawy zajrzałem do kota. Leżał tam biedak nieżywy! Szczury okazały się groźniejsze niż on.

- Czy nie słyszałaś mamo, że kot tam wołał o pomoc? - spytałem z wyrzutem.

- Nie synku ... przecież wiesz, że ja coraz gorzej słyszę... Oprócz dokuczliwego sąsiedztwa gryzoni dom, w którym mieszkaliśmy, miał też inne wady. Był stary. Stare mury atakował grzyb. Wszystkie ściany z wyjątkiem jednej były bezpośrednio narażone na wiatr i mróz. Tylko ściana kuchenna przylegała do innego mieszkania. W niej pozostały nawet drzwi do sąsiadów. Musiała to być kiedyś jedna całość. Te drzwi sąsiedzi zasunęli szafą. Nocami było słychać jęki. To sąsiadka umierała tam tygodniami. Potem zrobiło się cicho, a od sąsiadów wynieśli trumnę.

Za ścianą zamieszkała nowa rodzina. Nauczyciele, wysiedleni z Biłgoraju z dwójką dzieci. Z Kasią chodziłem do szkoły, a przyjaźniłem się ze starszym o rok Tomkiem. Pod jego "dowództwem", z innymi chłopakami z naszej ulicy, zorganizowa-

liśmy "partyzantkę". A on miał pseudonim "Tomcio-Paluszek". Naszymi przeciwnikami z braku małych Niemców - byli tzw. "skalarze". To były dzieci robotników z kopalni glinki ceramicznej. Ich grupa była liczniejsza od naszej. Przegrywaliśmy potyczki z nimi. Napady na nich kończyły się naszą ucieczką. Kiedyś pogonili nas aż do naszej kamienicy. Tu na schodach zostałem ranny. Uderzony w głowę kamieniem, spadłem ze schodów. Na szyi poczułem krew. Początkowo nie przyznałem się w domu do zadanej mi rany. Lecz mama spostrzegła krwawe ślady na koszulce i nie obyło się bez reprymendy. Elizną z tamtych czasów noszę do dziś. Mimo odniesionej rany nie zaprzestałem przysposabiać się do życia w partyzantce. Nadal brałem udział w wyprawach na "skalarzy". Tak jak prawdziwy partyzant potykałem się z przeważającą siłą. Wspólnie z Tomkiem zwiedzaliśmy różne zakamarki. Na sąsiedniej ulicy burzyli stare żydowskie domy. Szukaliśmy tam skarbów wśród starych belek i gruzu. Może już byliśmy w posiadaniu czegoś cennego, bo kiedyś naszliśmy na stos książek. Były stare i pożółkłe. Ale dla nas nie stanowiły wartości, bo nie były pisane po polsku. Leżały w pobliżu opustoszałej bożnicy. Do niej baliśmy się wejść, bo chłopcy straszili duchami pomordowanych Żydów. Podobno słyszano tam jęki i płacz. Zwłaszcza, gdy był silny wiatr. Nawet te pożółkłe książki tak jakoś tajemniczo szeleściły na wietrze.

Musieliśmy przerwać te nasze wyprawy. Niedaleko nas zawaliła się ściana rozbieranej rudery. Pod gruzami pozostał jeden człowiek pracujący przy rozbiórce. Wyciągnęli go stamtąd koledzy i ponieśli do szpitala na rękach. Pozostawiał na

chodniku krople krwi. Patrzyłem, gdy go nieśli.

Przeraziłem się widokiem odartej ze skóry nogi. Wtedy matka zabroniła mi chodzić ulicami opustoszałego getta. Wkrótce rozbiórek zaprzestano, a do pustych domów wprowadzili się kolejni Polacy.

Moje wyprawy ograniczyły się do rynku i skweru, po drugiej stronie ulicy. Rosły tam dęby i kasztany. Owoce tych drzew chętnie zbierałem. W domu robiłem z nich różne zwierzaki. Z żołądździ głowy, z kasztanów tułów, a z patyków nogi i ogon. Czasem nogi, gdy to miało przedstawiać bydło. Kasztan przecięty na pół i "zapatrzony" w 4 patyki wyobrażał powolnego żółwia. Najwięcej było koni. Dla nich żłobiłem w korze koryta a z rynku - w dni targowe - przynosiłem pozostawione tam ziarno i owies. Stojące w rzędzie przy pełnym żłobie "kasztanki" czekały na ułanów i wędza. Na kupno ołowianych żołnierzyków nie było wówczas pieniędzy. Chętnie chodziłem na rynek, gdy odbywały się targi. Obserwowałem handlujących. Zwłaszcza, kiedy dochodziło do kupna koni. Podziwiałem siłę uderzeń ręki o rękę, podczas licytacji i gdy ustalono cenę. Ten zwyczaj przenieśliśmy na szkolne podwórko. Każda wymiana choćby kolorowego kamyka, sznurka czy kawałka posadzki musiała być koniecznie zaklepana "po targowemu".

Przechodząc przez skwer na rynku, zaglądałem często do Malerowiczów. W sklepie pszczelarskim nadal pracowała Genia. W mieszkaniu, na zapleczu sklepu Bogdan i jego starszy brat ciągle coś majsterkowali. Z zainteresowaniem się temu przyglądałem w towarzystwie ich siostry Marylki. Czasem zrobili nam kukiełkę z wosku i mogliśmy się bawić w przedstawienie. Nie wychodziliśmy na dwór, bo już była jesień i zrobiło się zimno. Wkrótce nadeszła zima.

Święta Bożego Narodzenia były radośniejsze od tych z poprzednich trzech lat. W kącie pokoju stanęła prawdziwa choinka. Zawiesiliśmy na niej ozdoby z papieru i malowane aniołki, które gdzieś osobiście zdobyłem. Do gałązek mama poprzyczepiała pierniki. Podobały mi się te w kształcie serc. One zniknęły z choinki najpóźniej. Inne pierniki wyjadałem wcześniej. Wszystkie pieczone na miodzie przyniesionym przez Genię.

Przed wigilią zapalono woskowe świeczki zrobione przez któregoś z Malerowiczów. W ich świetle zabłysły cienkie paski pociętego przez nas celofanu. Pod choinką znalazłem kilka cukierków, które przywiozła od krewnych z Radomska moja siostra Mira. Checała się potem, że je kupiła za zarobione przez siebie pieniądze.

Po wigilii odwiedzili nas sąsiedzi z opłatkami. Z rozmowy mojego ojca z ojcem Tomka zrozumiałem, że Niemców na froncie powstrzymali Sowieci. Dużo ich ginie od rosyjskich kul. A przede wszystkim od siarczystego mrozu. Została powstrzymana niemiecka ofensywa. - Ruscy ich popędzą spod Stalingradu - usłyszałem z ust ojca Tomka. - Chyba na wiosnę ich przegonią z Polski - usłyszałem radosną prognozę z ust mojego ojca.

" To ten Stalingrad musi być blisko" - przyszło mi do głowy. Wiedziałem już wtedy, że wiosna przychodzi po zimie. Wiosnę kojarzyłem sobie z majem pełnym kwiatów i swoimi imieninami. "A więc wojna powinna się skończyć 8 maja!" - rozmarzyłem się. Odtąd na pytanie "kiedy się wojna skończy?" - odpowiadałem pewny siebie: "Musí się skończyć na moje imieniny!" Niestety, jeszcze dwa razy obchodziliśmy Stanisława pod okupacją, nim skończyła się ta straszna wojna.

Rok 1943 zaczął się od kolejnych dobrych wiadomości ze wschodu. Nic więc dziwnego, że spekulacje dorosłych na temat rychłego wyzwolenia nas spod okupacji dominowały w rozmowach. Dyskusje na ten temat i prognozy snuto w sposób zgodny z zasadami konspiracji. Dlatego i ja rozmawiając z ojcem na temat dalszego przebiegu wojny, pytałem o szczegóły półgłosem. Mnie oczywiście interesowały, najbardziej sprawy dotyczące uzbrojenia tych, co mieli przepędzić Niemców. Pytałem ojczulka - jakie mają karabiny, jak daleko niosą kulki, czy mają dość ostre bagnety, by zadłgać faszystę. Odpowiedzi ojca nie zaspakały mojej ciekawości. Zbywał mnie ogólnikami, mówił niepewnie, jakby się nie znał na uzbrojeniu. Wyczuwałem to instynktownie i miałem do ojca pretensje, że jako były frontowiec nie zna uzbrojenia "ruskich". Czasem ucinał rozmowę słowami: "przecież nie będę ci smyku wszystkiego tłumaczył, bo jeszcze jaki szwab usłyszysz".

To był istotnie ważny argument stopujący moje pytania na jakiś czas. Niemców trzeba było się ciągle bać - miałem to zakodowane w podświadomości.

Nic więc dziwnego, że kiedy w zimowy wieczór przyszedł do siostry kawaler i zobaczyłem u niego rewolwer - przeżyłem szok. Bo taką samą kaburę widziałem u boku żołnierza wermachtu. "To zapewne Niemiec udający polskiego partyzanta" - zrodziło się we mnie podejrzenie. "A może to zabrał niemieckiemu żandarmowi i ten żandarm tu przyjdzie po swoje?" - naszała mnie kolejna myśl wzbudzająca przerażenie. Czułem jak na policzkach potęgują się rumieńce. Gorączkowo obmyślałem na wszelki wypadek plan swojej obrony, gdy dojdzie do strzelaniny. Postanowiłem w razie czego skoczyć pod łóżko.

Następnego dnia po wizycie kawalera z niemiecką kaburą, natychmiast po przyjściu ze szkoły postanowiłem przeciwżyć skoki pod łóżko. Na wszelki wypadek "bo nigdy nie wiadomo, co człowieka może w życiu spotkać" - mruczałem pod nosem mądrą dewizę matki. Wyobrażając sobie w otworze drzwi niemieckiego żołnierza padłem na ziemię i błyskawicznie wzołgałem się pod łóżko. Ćwiczenie powtórzyłem raz i drugi. Za którymś razem potrąciłem jakąś butelkę stojącą w kącie. W półmroku nie mogłem dojrzeć etykiety. Leżąc, zdecydowałem się odorkować flaszkę, amoczyć w jej wnętrzu palec i go oblizać. W ustach poczułem smak miodu. "To pewnie Genia dostała od pana Kalerowicza i umieściła tutaj" - medytowałem. Łyknąłem raz i drugi, nie poczułem, że ten miód jest w smaku wyjątkowo ostry, mimo że rozcieńczony w jakimś płynie. Po chwili zrobiło mi się wesoło. Spróbowałem jeszcze. Łóżko zakłósało się nade mną i poczułem senność.

Obudziłem się męczony torsjami. Usłyszał to ojciec. Po chwili wyciągnięty za kołnierz, jak prawdziwy szczeniak, stanąłem przed swym rodzicem, wlepiając w niego półprzytomne oczy.

- Matka! Jak mogłaś pozwolić? On wypił mi miodówkę. A ja to chciałem zachować na lepsze czasy ...

- To po co mieszasz miód z tą niemiecką berbeluchą!? - odrzekła - wiesz, że dziecku smakują słodczyce. Na lepsze czasy poczekasz sobie z bimbrem. Tego ostatniego słowa nigdy przedtem nie słyszałem.

Niestety "lepsze czasy" nie chciały nadejść. W naszym domu było zimno. Na dworze był silny mróz. Mieszkanie ogrze-

wała jedynie "koza", spragniona opału, którego ciągle było za mało. Nadal też brakowało chleba. W sklepie piekarniczym Spółdzielni "Społem" sprzedawano chleb na kartki. Aby go wykupić, trzeba było stać w kolejce przez wiele godzin. Obowiązki "stacza" przyjęła na siebie wówczas najmłodsza z sióstr, bo naukę w klasach starszych władze niemieckie przerwały, a do pracy jeszcze była za młoda.

Wstawiała biedactwo w nocy, by zająć miejsce w "ogonku". Nieraz wróciła z płaczem, a bez chleba. Nim doszła zziębnięta do lady, zabrakło pieczywa.

W takich sytuacjach mama piekła placki. Do dziś przypominam sobie placki wypiekane z owsianych płatków, które co jakiś czas przysyłał nam krewni z Poznania, albo znajomi z Krzycka. Ci z Czempinia przestali przysyłać. Dwie siostry ojca wywieziono na roboty w głąb Rzeszy.

Wśród dań zastępujących nasz chleb powszedni, którego mimo modlitwy ciągle brakowało, najczęściej na kolację dostawałem placki kartoflane. Ten rodzaj placków tak mi spowszedniał, że dziś jadam je niechętnie.

Bywało, że placuszki mama podała osłodzone. Na placki kładła warstwę gęstego syropu z buraków cukrowych, który uzyskiwała sobie znany^m sposobem w kociołku na piecu. A po "cukrówy" szło się jesienią na drogi wiodące na stację towarową. Czasem to i trzy buraki przyniosłem z ulicy w jedno popołudnie. Zebrane składaliśmy do metalowej beczki po marmeladzie, czy może po smole. Żeby się do nich szczury nie dobrały.

Nasze głodowe menu było od czasu do czasu wzbogacone sucharem przyniesionym przez znajomych, którzy przychodzili

do naszego domu. Później dowiedziałem się, że byli to partyzanci. Im było łatwiej zdobyć pożywienie, zwłaszcza od życzliwych im mieszkańców wsi. Lecz te suchary - jak twierdził ojciec - nie mogły pochodzić od chłopów. To "suchy prowiant" - określał fachowo - "mogły pochodzić ze zrzutów lub ze sklepu z napisem "Nur für Deutsche", który być może opróżnili nasi partyzanci" - wyjaśniał.

Mieszkanie przy ul. Szpitalnej zawsze mi się kojarzy z tęgą, za ciepłym, mlekiem, jajkiem i tłuszczem. Paczki wtedy przychodziły już tylko sporadycznie i zazwyczaj bez żywności. Pewnie krewni z Poznania i nasi przyjaciele popadli w biedę, albo nakwintowano je na poczcie pod pretekstem znalezienia kawałka słoniny. Dopytywałem się o paczki coraz częściej - mówił mi ojciec. Bo przecież w takiej paczce zawsze było kawałek słoniny zwanej u nas "okrasa". Na niej można było usmażyć "pyry". Popijane serwatką a najwyżej chudą maślanką - były daniem niejako świątecznym. Matka wówczas wspominała o "kwaśnym" wiejskim mleku. "Pyry z takim mlekiem i sadzonym jajem - to dopiero pycha!" Na takie smakołyki musiałem jeszcze czekać.

Tymczasem, gdy któraś z sióstr powiedziała kiedyś "głodnemu chleb na myśli" - zwracając się do młodego człowieka - ja pojmowałem to dosłownie. Bo ja myślałem niemal wyłącznie o jedzeniu. Gdy śnieg stajał, chodziłem na łąki dokarmiać się listkami pospolitego szczawiu. Pomny przypowieści o pustelniku, co żywił się korzonkami, usiłowałem mu dorównać. Nawet poznałem smak grubych kłaczy tataraku.

Mój starszy kolega z podwórka o swojskim nazwisku: Kokot częstował mnie pieczonymi kawkami. Te ptaki z rodziny krukowatych, po oskubaniu przypominały gołębie. Młody Kokot wybierał je z gniazd zakładanych przez kawki w kominach. W tym celu wspinał się po dachach kamieniczek, gdy młode ptaki już się upierzyły. Spożywaliśmy je przy ognisku nad rzeką. Raz nawet w jego mieszkaniu. Zapamiętałem ten jeden raz, gdyż wtedy chwalił się swoim tatą, który był ułanen i zginął na wojnie. Pokazał go na zdjęciu jak stoi obok sztandaru z orłem i jakimś napisem. W środku użyto obcego mi słowa: "Honor". Spytałem swego tatę, co ono znaczy.

- Honor, syneczku to piękne słowo - rozpoczął wywód, którego nie pojąłem do końca, z wyjątkiem tego, że "dbać o honor, to dbać o swoje dobre imię".

Nie więc dziwnego, że kiedy mnie jakiś smarkacz z przeciwka obdarował wierszykiem "Stachu - kury na dachu ..." itd., wystąpiłem w obronie swego imienia. Zdzieliłem pięścią płamiącego mój honor między oczy. Natychmiast zostałem pognany przez matkę adwersarza. Pogoń skończyła się na naszej branie, w którą pchnięty uderzyłem czołem. Krwawiąc i płacząc wróciłem do domu. Nie przyznałem się jednak, że w obronie własnego honoru użyłem siły i że za to zostałem przegnany. Chciałem być honorowy - nie chwalić się i nie skarżyć. Mówiono mi, że moja mama nie zapytała mnie wtedy o szczegóły. Nie musiałem więc kłamać. Opatrzyła rany i jak zwykle w takich przypadkach kilka dni musiałem przesiedzieć w domu pijąc herbatkę przeciw gorączce, osłodzoną sacharyną.

Sacharyna zastępowała nam cukier. Nie zawsze jej star-
czało. Słodziło się nią tylko zbożową kawę, bo była bardzo
gorzka. Także w przypadkach choroby, w tym również skaleczeń -
można jej było użyć do herbaty z ziółek.

V. GDY NASILAŁ SIĘ RUCH OPORU

Cztery lata nędzy, ubóstwa i poniewierki, jakie mieliśmy już za sobą, mogły załamać każdego. Że tak się nie stało z moją rodziną, można zawdzięczać między innymi ruchowi oporu. Świadomość, że w pobliżu nas - w okolicach Opoczna i na terenie miasta działają ludzie w konspiracji, podtrzymywała nas na duchu. W miarę, jak wzmagala się walka naszych partyzantów ze zniechędzonym okupantem, pojawiała się coraz więcej nadziei na przetrwanie. To szczególnie zaczęliśmy odczuwać w 1943 roku. Zwłaszcza, że poczynania partyzantów stawały się coraz śmielsze a ich częstotliwość wzrastała. Już chyba nie było tygodnia, by ktoś nie przybył z wiadomością o starciach z wrogiem, sabotażach na szkodę okupanta czy odbieraniu Niemcom tego, co zrabowali Polakom.

Również w pobliżu naszej ulicy przeprowadzono akcję w biały dzień, którą warto wspominać. Do sklepu na rynku zajechała furmanka z ludźmi w niemieckich mundurach. Załadowali wóz żywnością, pokwitowali sklepowej odbiór przydziału dla "jednostki wermachtu" i odjechali. Wkrótce po nich pojawiła się znowu grupa tak samo ubranych żołnierzy. Zażądali przeznaczonych dla nich porcji, których już nie było. Okazało się, że ci pierwsi to byli nasi partyzanci przebrani za niemieckich żołdaków. Podobno oprócz "wymaganych" mundurów mieli odpowiednią pieczętkę, którą pokwitowali odbiór żywności.

Także w Chełstach - o czym dotarła do nas wiadomość - partyzanci w podobny sposób, w biały dzień przejęli z magazynu żywność.

Żałowałem bardzo, że nas tam już wtedy nie było. "Na pewno bym miał okazję im pomóc w załadowaniu furmanki" - rozmyślałem.

Pewnego razu bardzo zdziwiła mnie wiadomość, że z gorzelni w pobliskim Białaczowie, partyzanci przejęli beczki ze spirytusem. Podobno wywieźli je aż za Radom! Po wojnie dowiedziałem się od mieszkańca Starachowic, że tam za spirytus kupowano broń dla partyzantów. Zakupy broni, zdobywanie żywności i ubrań - mogły świadczyć o wzroście liczby Polaków działających w konspiracji. Także w naszym domu pojawiało się więcej chłopców, którzy bynajmniej nie przychodzili zalecać się do moich siostrzyczek. Zwłaszcza Mira miała z nimi - jak to można określić "służbowe" kontakty.

Mira przyjęta została do pracy w firmie budowy dróg i mostów. Jej szefem był Ślązak o polskim nazwisku Pach. W tej firmie moja siostra prowadziła między innymi rejestr osób zatrudnionych i przygotowywała listy płac. Początkowo dziwiła się, że w dniach wypłat pobierano pieniądze dla ludzi, których nigdy nie widziała. Potem ktoś jej kazał wpisywać do rejestru fikcyjne nazwiska. Nie wiedząc kiedy, zaczęła działać w ruchu oporu. Albo przynajmniej dla niego. I szybko zrozumiała, że niektórzy ludzie z listy - to po prostu partyzanci. Nigdy mi jednak nie mówiła, czy składała przyrzeczenie tajemnicy i kto od niej takie przyrzeczenie odbierał. Powiedziała tylko po zakończeniu wojny, że kazano jej "o tym nie pamiętać". Być może dostała takie polecenie od samego szefa, gdyż p. Pach - mówiła siostra - był we wszystkim zorientowany.

Kiedys, jako przypadkowy słuchacz, z przejęciem wysłuchałem jej opowieści. Przyszła wtedy z pracy dziwnie podenerwowana. Zwróciła na to uwagę mama. Siostra opowiedziała jej o śmierci kilku pracowników firmy Pacha, których w drodze do Drzewicy zatrzymał oddział "własowców". Po wykryciu, że któryś z nich ma przy sobie broń, wszystkich zamordowali.

Potem przywieziono nieżywych na plac zakładu. Siostra zobaczyła z okna ich rozpiątane głowy. "Pewnie je cięli toporem" - powiedziała kończąc opowieść. To wprowadziło mnie w przerażenie.

Można by z tej opowieści Miry wysnuć wniosek, że robotnicy firmy Pacha też byli partyzantami. Bo kto inny wśród robotników miał wtedy broń?

Nasz dom odwiedzał jeden z przełożonych siostry, inż. Ostrowski. Mira wiedziała, że jego brat jako partyzant zginął zamęczony przez Niemców. Wraz z innymi został spalony żywcem w jednej z podopoczyńskich wsi. Inżynier nie ukrywał, że pomści brata. Zdaniem siostry - on także był w partyzantce. Trudno mi pisać, z której był organizacji. Wtedy nie słyszałem takich określeń jak AK, GL, AL czy NSZ. O ludziach walczących z okupantem mówiło się "partyzanci". Dziś wiem, że w Opocznie do 1945r. nie było Gwardii i Armii Ludowej. Była grupa z NSZ. Lecz największą siłę stanowiła tam Armia Krajowa. W skład AK włączeni zostali m.in. byli "bechowcy" i dawni żołnierze Kubala. Zgłaszali się do niej mieszkańcy miasta i wsi. Także nieliczni dezercerzy z obozu przeciwnika i partyzanci rażenieccy. Dowódcami oddziałów była przede wszystkim przedwojenna kadra oficerska i podoficerska. Wszyscy oni tworzyli coraz silniejszy ruch oporu. Z każdym tygodniem rosło ich znaczenie. Coraz bardziej

dawali się we znaki naszym okupantom. I za to pokochałem partyzantów.

Coraz częściej dochodziły do nas wiadomości o wysadzaniu niemieckich transportów i regularnych bitwach z faszystami. Każda wiadomość o tym była dla takich dzieciaków jak ja powodem do radości i dumy. Mogłem z poczuciem godności odpowiadać na pytanie "kto ty jesteś"? - pięknym stwierdzeniem: "Polak mały".

Najbardziej - z tego okresu - utkwili mi w pamięci opowiadania o walkach partyzantów z naszymi prześladowcami, jakie miały miejsce pod Diablą Górą w Opoczyńskim. Tam bitwy odbyły się wiele razy. Wiedziałem, gdzie jest ta góra, bo znajdowała się w pobliżu "moich" Chełst. Ale nie tylko dlatego zapamiętałem relacje o stoczonych tam regularnych bitwach. Te bitwy kończyły się klęską niemieckich oddziałów!

"Nasi partyzanci zlikwidowali pod Diablą Górą dziesiątki naszych wrogów" - mówił ojciec. Wiadomo, że wrogami Polaków byli także ci, którzy sprzyjali Niemcom. O tym wiedziałem dokładnie i wcześniej, niż zacząłem chodzić do szkoły. W Opocznie widziałem przecież przy wejściu do getta Ukraińców, którzy zasłynęli z bezwzględności wobec Żydów.

Potem mówiono, że w opoczyńskiej remizie strażackiej skoszarowano "własowców". Hitlerowcy wykorzystywali ich do zwalczania polskich partyzantów. Oni - jak opowiadała siostra - bestialsko zamordowali polskich robotników z firmy Facha i oni - jak wynikało z relacji znajomej nauczycielki z Chełst - strzelali do Polaków pod Diablą Górą.

Tych w opoczyńskiej remizie widywałem na własne oczy.

Remizę od naszego domu oddzielał tylko skwer, na którym przecież bawiłem się często. Wieczorami śpiewano tam ukraińskie piosenki. Bardzo mi się podobały te śpiewy. Lecz słuchać ich miałem odwagę jedynie z daleka. Ciągnęło mnie coś do ich ogniska, które tryskało iskrami i buchało płomieniem. Ostrzegany przed niebezpieczeństwem, jakie nieśli z sobą - zdaniem mojego ojca - ci zdrajcy, spoglądałem w kierunku śpiewających przy ognisku z dużej odległości. Przez okno w mieszkaniu, albo stojąc na naszej ulicy. Niektóre ze słów piosenek, które płynęły z oddali, mogłem zrozumieć. Brzmiały, jak polskie. "Bo to też słowianie, jak my" - wyjaśniła mi matka. Wzbudziło to we mnie zdziwienie. Bo jak i czym wytłumaczyć to, że bracia słowianie strzelają do siebie? Znałem przecież legendę o Lechu, Czechu i Rusie. Ci, w których śpiew wsłuchiwałem się wieczorami, w dzień u boku swoich niemieckich przyjaciół - wyruszali "czesać" polskie lasy i pacyfikować nasze wsie. Napotykanne oddziały partyzantów tępili z bezwzględnością. Rannych zazwyczaj dobijali na miejscu, albo żywcem palili - jak opowiadał inż. Ostrowski. Zdarzało się jednak, że rannym partyzantom zdołano uratować życie.

Szpital w Opocznie przejął kiedyś czterech ranionych w lesie partyzantów. Osobiście widziałem, gdy ich przywieźli na wozie. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że ci wnoszeni z wozu do szpitala w biały dzień, to ludzie z polskiego ruchu oporu. Potwierdziła to moja siostra, która dorywczo pomagała w szpitalu.

Niestety, o rannych dowiedziały się niemieckie władze.

Mogło się to dla leczonych partyzantów skończyć tragicznie. Zaczęła się walka o ich życie. Nie tylko w szpitalu. Partyzanci porwali Niemca - opoczyńskiego Landwirsta Gepperta i mając takiego zakładnika, zażądali wyleczenia i szczególnej opieki dla rannych kolegów. Wtedy Niemcy zrobili w Opocznie łapankę. Wielu Polaków wywieziono do Tomaszowa. Pamiętam rzucone ulotki kierowane pod adresem partyzantów. W nich żądano wypuszczenia Gepperta. Jednak Niemcy nie wazylisię skrzywdzić partyzantów. Ulegli i uwolnili nawet tych z łapanki. Wtedy nasi chłopcy wypuścili na wolność Gepperta. To było niesamowite zwycięstwo naszego "podziemnego" dowództwa. Potem wystraszony Geppert polecił wypuścić więźniów przetrzymywanych w Tomaszowie. Miał o co się obawiać. Oprócz własnego życia, mógł utracić ukochaną przez siebie rodzinę mieszkającą w podopoczyńskim folwarku. Mówiono, że "starostę" puszczono z zawiązanymi oczyma. Na skutek tego nie wiedział w jakiej okolicy przebywał. Odtąd Geppert był dla Polaków znacznie łaskawszy.

Z coraz bardziej brawurowymi akcjami partyzantów policja i żandarmeria niemiecka nie mogły sobie poradzić. Zwłaszcza, że oddziały partyzanckie powiększane były o nowych ochotników.

Dlatego okupant wzmógł swe wysiłki, by tropić zarówno walczących już w ruchu oporu jak i tych, którzy wykazywali chęci do działania w podziemiu. Chwytał się przy tym różnych metod i sposobów. Podstępnych chwytów i prowokacji.

W maju 1943r. - jak opowiadano w moim domu - w okolicach Opoczna, w Białaczowie i Drzewicy, pojawił się młody człowiek na rowerze jako kominiarz. Swoim ubiorem i wyposażeniem

wzbudzał oczywiste zainteresowanie. Tym bardziej, że miał na głowie cylinder, nakrycie w tych stronach w owym czasie nieznane. Zbierało się wokół niego stadko dzieciaków i nie tylko. Przystawali też przy nim kilkunastoletni młodzieńcy i zupełnie dorośli mężczyźni. Mając wokół siebie sporą ich grupę, namawiał do wstąpienia w szeregi partyzantki. Wielu zapisywało się. Potem następowały aresztowania, których ofiarami byli przede wszystkim zapisani i tacy, których "typowano" na przywódców -ze względu na predyspozycje.

Stało się jasne, że wykazy sporządzane przez tego kominiarza dostawały się w ręce gestapo. Wkrótce "kominiarza" ujęli partyzanci. Przyparty do muru, podobno powiesił się w leśnym areszcie.

Mówiono także o innym zdrajcy, którego po udowodnieniu mu kolaboracji -przykuto łańcuchami do drzewa. W lesie, z dala od ludzi. Tam łobuz, ze strachu, podobno wyzionął ducha.

Ja i moi równieśnicy chętnie chodziliśmy całą chmarą za człowiekiem, który być może był także prowokatorem. Odwiedzał domy jako żebrak. Frzychodził także do nas. Śpiewał piosenkę: "Czy ty polski, czy ty ruski, czy ty zjadłeś matce kluski, aj, aj, ajajaj ...". Bawiło nas to. Nazywaliśmy go głupim Stasiem, bo robił głupie miny. Opowiadał biegającym za nim dzieciakom historyjki z wojny. Mówił nam, że w bitwie przed laty został ciężko ranny. Faktycznie był kaleką i poruszał się o kulach. Bywało, że nagle rzucał pytanie dzieciom: "a u was w domu ma kto rewolwer albo karabin?"

Po jakimś czasie śpiewający Stasio został znaleziony w lesie. Z dziurą w głowie. Od kuli.

wzbudzał oczywiste zainteresowanie. Tym bardziej, że miał na głowie cylinder, nakrycie w tych stronach w owym czasie nieznane. Zbierało się wokół niego stadko dzieciaków i nie tylko. Przystawali też przy nim kilkunastoletni młodzieńcy i zupełnie dorośli mężczyźni. Mając wokół siebie sporą ich grupę, namawiał do wstąpienia w szeregi partyzantki. Wielu zapisywało się. Potem następowały aresztowania, których ofiarami byli przede wszystkim zapisani i tacy, których "typowano" na przywódców - ze względu na predyspozycje.

Stało się jasne, że wykazy sporządzane przez tego kominiarza dostawały się w ręce gestapo. Wkrótce "kominiarza" ujęli partyzanci. Przyparty do muru, podobno powiesił się w leśnym areszcie.

Mówiono także o innym zdrajcy, którego-po udowodnieniu mu kolaboracji - przykuto łańcuchami do drzewa. W lesie, z dala od ludzi. Tam łobuz, ze strachu, podobno wyzionął ducha.

Ja i moi równieśnicy chętnie chodziliśmy całą chmarą za człowiekiem, który być może był także prowokatorem. Odwiedzał domy jako żebrak. Przychodził także do nas. Śpiewał piosenkę: "Czy ty polski, czy ty ruski, czy ty zjadłeś matce kluski, aj, aj, ajajaj ...". Bawiło nas to. Nazywaliśmy go głupim Stasiem, bo robił głupie miny. Opowiadał biegającym za nim dzieciakom historyjki z wojny. Mówił nam, że w bitwie przed laty został ciężko ranny. Faktycznie był kaleką i poruszał się o kulach. Bywało, że nagle rzucał pytanie dzieciom: "a u was w domu ma kto rewolwer albo karabin?"

Po jakimś czasie śpiewający Stasio został znaleziony w lesie. Z dziurą w głowie. Od kuli.

Któregoś dnia po odwiedzinach tego Stasia, do naszego mieszkania wszedł żandarm w towarzystwie cywila i z psem. To musiało być w wakacje, albo w czasie, gdy Niemcy zamykali szkoły, bo w domu był ojciec i Teresa. Żandarm puścił psa luzem, obserwując jego zachowanie. Wilczur węszył po mieszkaniu. Gdy zbliżył się do Tereni, siostra ze strachu skoczyła na stół. Mnie ojciec wziął na ramiona. Potem żandarm poprzewracał sienniki. Zaglądał pod łóżka i wyrzucił z szafy - co tylko tam było. Intruzi wyszli, nie znalazłszy nic podejrzanego. Pozostawili nas wystraszonych i bałagan w mieszkaniu.

Mama mówiła, że to była rewizja. Dziwiłem się, że psa nie wpuścili do piwnicy. Przecież węszyli wszędzie. Może psisko by wypłoszyło szczury ...

Po ich wyjściu Terenia długo nie mogła się uspokoić. Ona wilczurów - jak nazywaliśmy owczarki niemieckie - bała się chyba bardziej niż ja. Twierdziła jednak, że nie psisko było powodem jej wielkiego strachu. Bała się, że rewidujący znajdzie jej zeszyt z pamiętnikarskimi adnotacjami. Tam spisywała także słowa zakazanych piosenek. Również takich, które śpiewali nasi znajomi z konspiracji.

W następnych tygodniach po rewizji nie wydarzyło się nic szczególnego, co by utkuło w mojej pamięci, albo zasługiwało na wpisanie do siostrzanego pamiętnika. Aż pojawili się dziwni ludzie.

To było zimą z 43 na 44 rok, bo na głowach mieli duże, futrzane czapy. Niezgrabne, powypychane czymś buty do kolan, dziwiły mnie a ich zapewne chroniły przed mrozem. Pierwszy raz napotkałem ich kilku na targowisku. Różnili się od Polaków dziwną budową głowy. Uznałem, że ich głowy są bardzo "kanciaste"

a zamiast oczu mają skośne szparki.

Podeszli do jednego z chłopów, wetknęli mu coś w rękę i mimo jego protestów zabrali mu konia. Pozostawili tylko wóz z uprzężą. Z koniem udali się do miejsca, gdzie byli skoszarowani. Tam zastrzelili konia na moich oczach, bo szedłem w pewnej odległości za nimi.

- Dlaczego oni zastrzelili konia? Powiedz mi mamó... - zakończyłem swoje opowiadanie bardzo przejęty i wylęknięty po powrocie do domu.

- Oni pochodzą z Azji i jedzą końskie mięso - odrzekła mama, wprowadzając mnie w tym większe zdziwienie. No bo jak to - rozumowałem - Bóg stworzył konia do pomocy człowiekowi a nie po to, żeby go zjadać jak jaką świnię...

Kałmucy, bo tak mówiono na tych zjadaczy koniny - podobnie jak własowcy z Ukrainy, wspomagali Niemców. Wyznaczono im rolę tropicieli partyzantów. Nikt mi jednak nie mówił, czy też - jak własowcy - wsławili się okrucieństwem. Wyłapywani już po nadejściu wojsk radzieckich, ginęli pod gąsienicami czołgów. Lecz nikt nie mówił - za co.

Rok przed nadejściem frontu do Opoczna przyjechali Węgrzy. Ich też Niemcy postanowili wykorzystać jako swoich sojuszników. Początkowo, gdy dowiedziałem się o ich pojawieniu w naszej okolicy, sądziłem, że przyjechali by pomóc Polakom w przepędzeniu szwabów. Bo kiedyś mi mówił ojciec, że Polak z Węgrem to bratanki.

Z wyglądu różnili się od niemieckich żołnierzy. Z zachowaniem się wobec Polaków także. Mieli bardziej zielone mundury,

inaczej wyglądały ich czapki i potrafili się do nas uśmiechać. Tych, których widywałem, łatwo też było odróżnić po śniadej skórze, kruczo-czarnych włosach, takich samych oczach.

Kiedyś byłem świadkiem, jak pojawili się w sklepie, gdzie pracowała Genia. Jeden z nich, z gwiazdkami na ramieniu, przedstawił się siostrze jako Sandor. Znał j. niemiecki i trochę mówił po francusku. Właśnie tych dwóch języków uczyła się moja siostra, chodząc przed wojną do gimnazjum. Mogła się z nim porozumieć. Nie wiem czy tylko to spodobało się Węgrowi, w każdym razie do sklepu Malerowiczów zaczął przyjeżdżać częściej. Po pewnym czasie zaprosił nawet Genię na przyjęcie w dworku za miastem. Tam stacjonował węgierski oddział. Siostra odmówiła i tam nie poszła.

Rozsierdziło to naszego "bratanka" i-aby zwrócić na siebie baczniejszą uwagę - zrobił najazd na sklep. Byłem akurat u siostry, gdy Sandor wpadł do pomieszczenia sklepu na pięknym koniu i usiłował porwać ze sobą moją siostrę. Ledwie się zdołała wydostać drzwiami na zaplecze. Dlaczego ja się nie przestraszyłem? Ba! Mnie się to nawet spodobało! To chyba był rycerz przebrany za sprzymierzeńca Niemców ...

Potem Sandor pojawił się znowu i przeprosił siostrę. Siostrze gniew przeszedł i rozmawiała z nim jak przedtem. Z czasem zaczął Genię informować o terminach i miejscach planowanych obławach na partyzantów w lesie. Także o przeszkaniach w okolicznych wioskach. Nie trudno się domyśleć, że robił to celowo żeby siostra te informacje przekazała naszym chłopakom. Mówiła o tym miejscowemu organiście p. Bartuziemu,

z którego córką przyjaźniła się. Razem ćwiczyły grę na pianinie w pomieszczeniach organistówki. Pan Bartuzi namawiał z kolei Genię, by zechciała "wycyganić" broń od Węgrów dla partyzantów.

Do mojej najstarszej siostry przychodził w tym czasie "w konkury" człowiek, z któregoś z partyzanckich ugrupowań. Do niego zwracaliśmy się per "Igol". On nigdy nie krył się z przynależnością do partyzantki. Nawet na moich oczach czyścił pistolet.

Siostra mówiła Igolowi o wizytach Węgra i informowała o tym, co Sandor jej przekazywał. Siostra nie wiedziała jednak, jak dużą korzyść mieli z tego partyzanci. Myślę, że mieli, bo nie słyszałem o przypadkach, żeby dochodziło do krwawych spotkań Węgrów z Polakami.

Faktem bezspornym jest, że Węgrzy narażając się Niemcom pomagali uniknąć "wpadki" nie raz. Opowiadała nam kiedyś znajoma ojca - nauczycielka działająca w konspiracji - o takim zdarzeniu. W jednej z wiosek w pobliżu Diablej Góry, gdzie mieszkała (chyba to był Myślibórz lub Skórkowice) zakwaterowali się nasi partyzanci. Wtedy we wsi pojawili się niemieccy żandarmi i węgierscy żołnierze. Węgrzy ruszyli przodem, żeby przeszukać zagrody. Wnet naszli na zabudowania, gdzie spali partyzanci. Zmęczeni nocną marszrutą dali się zaskoczyć. Wówczas Węgrzy kazali gospodyni uprzedzić śpiących chłopców i ruszyli do następnej chałupy, by zrobić to samo. Śpieszyli się wiedząc, że po nich pojawią się Niemcy.

Dzięki tej pomocy Węgrów grupa partyzantów zdążyła opuścić wioskę, unikając spotkania z przeważającą siłą niemieckiego oddziału.

Można przypuszczać, że Niemcy ocenili pomoc Węgrów dla siebie jako nieefektywną. W każdym razie przestaliśmy ich widywać w Opocznie. Sandora i jego oddział przenieśli. Nikt nie wiedział dokąd. Może na front, a może odesłali ich po prostu do domu? Byli tacy, którzy wcześniej zdezerterowali i wstąpili do partyzanckich oddziałów. Potem niektórzy z nich ginęli w potyczkach z Niemcami. O ile dobrze pamiętam, także kamień pamiątkowy między Wincentowem a Brodami k/Końskich mówi o poległych tam 2 dezernerach z węgierskiego wojska. Walczyli wspólnie z żołnierzami AK w 25 pułku (ta krwawa bitwa odbyła się w listopadzie 1944r. Opisuje ją Dariusz Gołębiowski w książce "Burza nad Czarną").

Niespodziewany wyjazd Węgrów z Opoczna i skończone zaloty Sandora do mojej siostry odczułem z żalem. Polubiłem tego Węgra na koniu, choć go dobrze nie znałem. Miałem nawet pretensje do Geni o to, że go nie zatrzymała w Polsce. Sympatię na Sandora przelałem podświadomie na innych Węgrów - bratanków. Dlatego przyjmowałem z niedowierzaniem - jako dziecko - opowiadania o tym, że byli Węgrzy, co strzelali u boku niemieckich żandarmów do polskich partyzantów.

VI. CZAS SIĘ DŁUŻYŁ

Igol nadal odwiedzał moją najstarszą siostrę. Czułem do niego niechęć. Nawet kiedy obdarzył mnie straszakiem bardzo przypominającym pistolet - nie zdołałem Igola polubić. I nie wiem, czym mógłbym to wytłumaczyć lub uzasadnić.

A pistolet był naprawdę wspaniały. Oksydowany, z miejscem na magazynek i cyngiel miał jak prawdziwy. Niestety, nie dawał się "naciągnąć", bo miał pękniętą sprężynę. Igol mówił, że to pistolet startowy.

- Teraz mi nie jest potrzebny, bo już mam taki co strzela - uzasadniał swoją hojność w chwili przekazywania straszaka do moich rąk. Podobno z emocji zrobiłem się na twarzy czerwony, jak nigdy. Nie byłem pewny, czy dostaję go "na zawsze", czy tylko żeby się nim pobawić.

Mimo jego wad, obchodziłem się z nim bardzo ostrożnie, żeby nie wypalił. Ojciec twierdził, że każda broń raz w roku sama strzela. Zapomniał dodać, że nie dotyczy to zepsutych straszaków.

Z kolei matka ostrzegała mnie przed znacznie większym niebezpieczeństwem.

- Jak ten "brauling" zobaczy jakiś gestapowiec, to całą rodzinę wystrzelają. Lepiej to dobrze przechowaj i nie wynoś na dwór - mówiła.

Żeby się cała rodzina doczekała końca wojny, schowałem swą broń do szczurzej dziury. Poprzysiągłem też sobie, że pistolet wyciągnę spod podłogi dopiero wtedy, gdy Niemcy nie będą już mogli strzelać do cywilów. A najlepiej wtedy, kiedy ich

ruscy wygnają z Opoczna.

Ten moment zimą 44 roku wydawał się bardzo bliski. Mogłem to wnioskować z rozmów prowadzonych w naszym domu przez dorosłych. Ktoś wówczas powiedział, że sowieci "doszli już do Stanisławowa". Wiedziałem, że to miasto należało do Polski. Było mi bliskie, bo w swej nazwie zawierało moje imię. "Jeżeli tam dotarli, to znaczy oswobadzają już Polskę!" - myślałem, nie przypuszczając, że to nie będzie polskie miasto.

W tym czasie znów mnie i moich rówieśników "skazali" na dłuższe, zimowe wakacje. Prawdopodobnie budynek szkolny Niemcy przeznaczili dla zaplecza swoich cofających się wojsk. Nam jednak mówiono, że powodem przerwy w nauce jest brak opału. Zima była rzeczywiście uroźna. Ale to dla dzieciaków nie było powodem do wielkiego zmartwienia. Na rozlewiskach Drzewiczki, która przepływała w pobliżu naszej ulicy, powstało wspaniałe, naturalne lodowisko. Niestety, korzystanie ze ślizgawki zostało ograniczone przez rodziców.

- Nie ślizgaj się tyle, bo podeszwy zedrzesz raz, dwa! - słyszałem. Podeszwy miałem z drewna. Ścierały się szybko, a o łyżwach mogłem marzyć.

Któregoś dnia, jeden z moich kolegów pojawił się na lodzie z małymi saneczkami. Uzbrojony w ratrowy kij z wbitym gwoździem na dolnym końcu, stanął na saneczkach i odpychając się nim, ruszył po tafli przed siebie. Odpychając się trzymanym między nogami kijem, nabierał szybkości. Potem zahamował tym kijem! Każdy patrzył z zazdrością. Bo co najważniejsze, nie zdzierało się na tym obuwia!

Wnet miał wśród kolegów swoich naśladowców. Po kilku dniach mrowie dzieciaków mknęło po lodzie na swych "szpi-kulcach". Tak bowiem nazywaliśmy ten wehikuł ze względu na kij uzbrojony w metalowe ostrze.

Ja również z pomocą taty zrobiłem dla siebie saneczki. Były szybkie, bo płozy okuliśmy metalową taśmą. Jazdy musiałem się uczyć. Trzeba było w czasie jazdy utrzymać równowagę, stojąc na deseczkach, do których umocowano płozy. To nie było łatwe przy osiąganym szybkości. Wiele nabiło się guzów i sińców, nim osiągnęło się "klasę mistrzowską". Ale co to była za frajda! Młoda głowa zapomniała o wojnie! Tylko, że głód się wzmagił na świeżym powietrzu, podczas sportowego wysiłku.

Matka wcześniej zapędzała do łóżka, żeby synek nie prosił o drugą kolację. Na szczęście szybko zasypiałem po zabawie na lodzie odurzony mroźnym powietrzem.

Zabawa na lodzie skończyła się dla mnie, gdy wpadłem do przerębla. Zamoczyłem się po pas w tym wyrąbanym przez kogoś otworze. Nim dotarłem do domu, pokrył mnie lodowy pan-cerz. Nie pomogła gorąca herbata z zebranych latem ziół. Musiałem leżeć w łóżku. Pojawiła się wysoka gorączka. Lekarstw nie było. Tylko jakiś proszek musiałem łykać, ku memu zdumieniu zwany kogutkiem. Potem pozostał kaszel. Mama mówiła: "on pewnie ma suchoty". Czy miałem, nie było możliwości wówczas tego ustalić i zapobiec chorobie. Na badania musiałem poczekać aż do końca wojny.

Gdy w 1944 roku zbliżały się moje kolejne "wojenne" imieniny, byłem zrozpaczony tym, że Niemcy nadal czują się

w Polsce panami. Pytałem zniecierpliwiony, czy ruscy zdążą przed 8 maja przyjść do Opoczna. Otrzymując odpowiedzi przeczące - czułem się załamany. Znaczyło to bowiem, że moje marzenie o końcu wojny w moje imieniny jeszcze się nie ziści. Już wkrótce miałem ukończyć 9 lat więc "czas, żeby życie zacząć od nowa" - myślałem cytując powiedzenie ojca. Nie wiem dlaczego ta złota myśl towarzyszyła mi nawet wówczas, gdy skończyły się lata młodości.

W pierwszych dniach maja, gdy jeszcze nie chciała zakończyć się wojna, matka podjęła decyzję wydzierżawienia skrawka ziemi pod ogródek. "Będą warzywa, więc będę miała co do garnka włożyć" - motywowała swoje postanowienie i popędziła ojca, żeby załatwił nam ziemię. Załatwił za miastem. Tam, gdzie w pobliżu wydobywali glinę na opoczyńskie posadzki i kafle. Chodziłem z rodziną na ten "ogródek". Podlewałem jak inni, nosząc wodę z pobliskiej rzeki. Było sucho, gleba gliniasta i twarda. Nie chciało rosnąć. Jednak miałem z tego pożytek. Doświadczyłem mianowicie, że uprawa ziemi to ciężka praca.

Pamiętam, że pewnego upalnego popołudnia, zmęczeni i spoceni wróciliśmy do domu z ogródka. W domu zastaliśmy ojca wyjątkowo radosnego. Przywitał nas słowami: „Teraz, to już koniec wojny na pewno blisko!”

- Sowieców widziałeś? - spytała matka.
- Nie! Anglicy i Amerykanie wylądowali we Francji!
- To się w życiu nie doczekasz ich przyjscia do Polski - odrzekła mama i na dobre zaczęli się sprzeczać.
- A mnie wszystko jedno, skąd przyjdą, żeby przepędzić Niemców. Byłe to nastąpiło szybko, bo chcę jeść chleb

codziennie - wtrąciłem niespodziewanie.

- Doczekasz się synku. Już niedługo - nawet chleba z masłem ...

- A co to jest masło? - spytałem szczerze.

To moje pytanie kończące sprzeczkę rodziców, często wspomiano w rodzinie po wojnie. Wówczas im przez myśl nie przeszło - mówiła matka - że ja mogłem zapomnieć w ciągu 5 lat wojny o masło i że można jeść chleb smarowany masłem! Wtedy chleb jadłem tylko suchy. Co najwyżej z marmoladą z brukwi - otrzymanywaną na kartki.

Jeszcze jedno wspomiano po wojnie: przez cały czas na wysiedleniu tęskniłem za jajkiem utartym z cukrem i za galaretką o smaku pomarańczy. Nie wiem dlaczego ten ostatni "rarity" tkwił w mej pamięci i wzbudzał tęsknotę za nim.

Dlaczego takie dziecko jak ja, i tysiące podobnych, było pozabawionych przez lata takich przysmaków? Nie wiem, czy któryś z Niemców by mi zechciał odpowiedzieć na to pytanie. I jeszcze jedno: czy los dzieci wyrzuconych z domu i przymusowo wysiedlonych nie był gorszy od losu dorosłych wywiezionych na roboty przymusowe do Niemiec? Też nie wierzę, że ktoś na to odpowie.

Braki w jedzeniu - znów² gdy pojawiły się grzyby - uzupełnialiśmy w okolicznych lasach. Jak co roku, chodziłem w towarzystwie starszych.

Pewnego razu wychodząc z lasu na szosę w pobliżu Opoczna (szosa wiodąca do Rawy Mazowieckiej) spostrzegłem napis: Bukowiec. Serce mi szybciej забиło. Taki napis odczytywał ojciec w pobliżu Krzycka, gdy jechaliśmy do Włoszakowic na plebanię stryja!

Zapamiętałem to sprzed wojny i przypomniałem wtedy. Niestety, tam pod Opoczmem, był inny Bukowiec. Wsi o tej nazwie jest wiele w Polsce - wyjaśniła mi siostra. Szkoda - pomyślałem. Bo wtedy Krzycko jawiło się blisko.

W Bukowcu przed wojną - przypominał ojciec - wykonano nam meble na zamówienie. Rzeźbione, z dębowych desek. Nawet zegar stojący sprowadzony ze Szwajcarii obudowano w tym samym stylu co kredens. Wykonawcą był nasz znajomy p. Grzesiewski. Też wysiedlony. Zamieszkał w Ujeździe z rodziną i tam kierował tartakiem.

Do Ujazdu z Opoczna było blisko. Byłem tam kilkakrotnie z siostrą. Jedna z wycieczek do państwa Grzesiewskich omal się nie skończyła dla mnie śmiercią lub trwałym kalectwem. Syn kierownika tartaku namówił mnie na przejażdżkę wózkiem. Takim do przewożenia desek po szynach. Teren, gdzie było torowisko był pagórkowaty i zawałony deskami, belami, tarcicą i stertami trocin. Pierwszy zjazd odbyłem w towarzystwie starszego o 3 lata kolegi. Potem młody Grzesiewski namówił mnie bym na wózku usiadł samodzielnie. Wdrapałem się chętnie i stwierdziłem po chwili, że już sam pędzę na złamanie karku. Coś nagle zatrzymało wózek w miejscu. Ja poleciałem koziółkując w powietrzu i wylądowałem w kupie trocin.

- Miałeś szczęście, że to nie były pniaki, bo by nie było co zbierać po tobie - objaśnił syn Grzesiewskiego. - Nic cię nie boli? Poobijany wprawdzie byłem. Z nosa kapnęło parę czerwonych kropelek. Ale zęby pozostały wszystkie. Więc nic się nie stało! Można było jeszcze pojeździć.

Wtedy u państwa Grzesiewskich ktoś mówił, że powstał już nowy polski rząd za Wisłą. Ten rząd przywieźli ze sobą Rosjanie. Słuchałem tego w napięciu. Wyobrażałem sobie jak rząd jedzie do Polski na rosyjskich czołgach. To mnie bardzo zainteresowało.

W kilka dni później o niczym innym nie mówiono w naszym domu, jak tylko o powstaniu. Przestali nas odwiedzać znajomi partyzanci.

- Też pewnie poszli z innymi, by walczyć w powstaniu warszawskim - mówiły między sobą starsze siostry.

Z Warszawy nadchodziły różne wieści. Przeważnie dobre i podtrzymujące nas w dobrym nastroju. Podniecały mnie te informacje o walczących tam dzieciach. Chciałem natychmiast podrosnąć i popędzić do stolicy z tym swoim schowanym pod podłogą pistoletem.

Z czasem jednak nadeszły złe wiadomości. Potem jeszcze gorsze, że Warszawę rujnują i palą. A ja z rówieśnikami patrzyliśmy na wschód. Bo stamtąd miała przyjść wolność. To stało się niemalże naszym codziennym obowiązkiem. Cała nasza wataha z ulicy ruszała przed zmrokiem nad pobliską rzeczkę, żeby sprawdzić, czy na szosie z Radomia są już jakieś ruchy wojsk. Bo stamtąd właśnie, z tego miasta położonego na wschód od Opoczna, miano gonić okupanta.

- A może oni nadejdą z innej strony? - pojawiały się wątpliwości.

- Coś ty ... - wyjaśniać zaczynał bardziej obeznany w geografii - gdzie indziej nie przejedziesz przez Wisłę. Tylko za Radomiem jest most. Wtedy patrzyliśmy z podziwem na naszego

uczonego kolegę i nikt nie śmiał temu zaprzeczyć.

Każdy podejmował inny temat rozmowy, w którym się czuł mocny i mógł zabłysnąć wiedzą.

Niestety, wiele spojrzeń jeszcze kierowaliśmy na drogę w kierunku Wisły. Ktoś z mądrzejszych powiedział nawet, że „przez Wisłę to dopiero przejdą, jak zamrznie, bo most jest zaminowany...”

Mijały dni i tygodnie i rodzice zaczęli się martwić o to, czy dotrzemy do wyzwolenia. Okupanci rozsierdzeni niepowodzeniami w bitwach z wojskiem radzieckim, a także na frontach południowym i zachodnim, stali się bardziej bezwzględni wobec Polaków - nieuzbrojonych cywilów.

Wzrosła częstotliwość łapanek. Pacyfikowano wsie.

Palili żywcem ludzi posądzonych o sprzyjanie partyzantom.

Nieraz widziałem łuny za Opocznem. Ojciec i siostry przynosiły do domu wiadomości o wywiezieniu do obozów koncentracyjnych naszych znajomych. Wtedy wiedziałem już, że taki obóz równa się śmierci.

Zaczęliśmy się bać, że nasz ojciec podzieli los swojego brata - księdza, zamordowanego w Dachau.

Ktoś mówił, że teraz wywożą całe rodziny. Było jeszcze jedno niebezpieczeństwo, że może któreś z nas nie doczekać końca wojny.

Powodem mógł być głód i towarzyszące mu choroby.

Coraz częściej w piekarni, gdzie kupowało się na kartki chleb, wywieszano napis: " brak mąki ".

Rodzice szukali sposobów zdobycia żywności. Ojciec jeździł aż do Małenca, Chełst i Żarnowa. Tam gdzie miał znajomych i mógł liczyć na jakąś pomoc. Na krótki czas odczuliśmy poprawę.

Pewna dziewczyna zaczęła nam dowozić rąbankę z " nie-

legalnego" uboju. Trwało to krótko. Złapana z torbą mięsa, nie dotarła do nas. Podobno zginęła z rąk hitlerowców, jako niebezpieczna dla niemieckiej Rzeszy.

W rodzinie cieszyli się, gdy mnie z Terenią zapraszali od czasu do czasu krewni jej koleżanki. Mieszkali na wsi. Mieli gospodarstwo w Białaczowie, kilka kilometrów za Opocz-
nem. U nich mogliśmy się najeść!

Podczas jednego pobytu - widziałem to przez okno - jacyś młodzi ludzie wynosili coś ze stodoły. Po latach Teresa mówiła mi, że to byli partyzanci, a ci dobrzy ludzie, którzy nas gościli - zaopatrywali oddziały AK w żywność. Koleżanka odebrała podobno przyrzeczenie od mojej siostry, że nikomu o tym "słowa nie piśnie". Teresa dotrzymała słowa. Nawet w rodzinie "nie pisnęła" o tym do końca wojny.

Wiele lat po wyzwoleniu dowiedziałem się z lektury, że w Białaczowie mieściło się dowództwo AK na obwód opoczyński. Był tam też partyzancki szpitalik, a miejscowi rolnicy zaopatrywali partyzantów w żywność, którą zwożono tu również z okolicznych wiosek.

Już wcześniej wiedziałem, że w kierunku Białaczowa, wywieziono kiedyś z magazynów opoczyńskiego Baudinstu obuwie i ubrania. Opowiadał o tym znajomy siostry, który był junakiem w tej niemieckiej firmie. Chwalił się, że pomagał partyzantom w przenoszeniu ubiorów z magazynu na wóz. Przedtem rozbroili 2 Ukraińców będących na straży. Któryś z partyzantów strzelił na wiwat, gdy ruszyli w drogę powrotną - relacjonował ów znajomy. To było dla mnie niezwykle! Już nie rozbrojenie ukraińskich strażników, przejazd wozami przez miasto, ale

ten strzał na wiwat, to było dla mnie największym wyczynem! Jeszcze podczas trwania powstania warszawskiego do białaczowskiego szpitala przywieziono rannych. Wtedy za zgodą Landwirta Gepperta (!) - jak wyczytałem ze wspomnień partyzanta i działaczki PCK pani Elizy Plater-Kwileckiej - na potrzeby tego szpitala zajęto miejscowy pałac. W nim zorganizowano ambulatorium i dokonywano zabiegów.

W tym samym czasie w Opocznie pojawili się pierwsi Warszawiacy, którzy padli ofiarą powstania. Ich mieszkania w Warszawie zostały zniszczone. Także w naszym sąsiedztwie zamieszkała rodzina z Warszawy. Kobieta z dziećmi bez męża. On zginął w walkach z Niemcami. Zaprzyjaźniłem się z jednym z jej synów. Słuchałem z zapartym tchem opowiadań chłopca o tym, jak nasi biją się z Niemcami. Wyobrażałem już sobie, że wytluką hitlerowców do nogi i dożyjemy szybciej końca wojny. Rozumowałem, że skoro za Wisłą są Rosjanie, to naszym pomogą, bo blisko. Dziwiłem się potem, dlaczego tak się nie stało.

W sierpniu i wrześniu 1944r. spiętrzyło się wiele wiadomości, które wzbudzały w nas nadzieję i rodziły optymizm. Mówiło się o zamachach na Hitlera, o buntowaniu się żołnierzy niemieckich i wyłamywaniu z koalicji dotychczasowych sojuszników Niemiec. Ojca szczególnie ucieszyła wiadomość, że Niemców wyparto z Paryża i całkowite uwolnienie Francji od faszystów, stało się kwestią tygodni.

Również blisko nas zdarzyła się rzecz niewiarygodna. Znów pod Diablą Górą odbyła się bitwa, która przyniosła

naszym partyzantem zwycięstwo i chwałę. To była bitwa na wielką skalę. Wzięły w niej udział setki Polaków i Niemców. Bo w okolicach bliskich mi Chełst stacjonowały oddziały partyzantów w oczekiwaniu na wymarsz z pomocą walczącej Warszawie. Wtedy pojawiły się tam liczne oddziały żandarmerii i wojska wermachtu. Doszło do krwawego starcia. Zwycięskiego dla nas.

Krótko po tym nasz ojciec znów wybrał się w okolice Chełst po żywność. Przywiózł ze sobą sporo wiadomości o bitwie pod Diablą Górą. Słyszał o setkach zabitych Niemców i o tym, że wzięto ich wielu jako jeńców. Dla mnie to była rzecz dotychczas nieznaną. Dopytywałem się zaraz, co to są jeńcy i co z nimi zrobią. - A nie można takich wsadzić do klatki i wozić na pokaz? - spytałem poważnie. I już myślałem jakby to było dobrze wyzwalać ich bez sławy, że zrobią mi krzywdę.

Wtedy wraz z dobrymi nowinami ojciec przywiózł więcej żywności niż zwykle. " To dzięki polskim żołnierzom z AK" - mówił ojciec.

W miejscowości Jawer koło Chełst wypędzili niemieckich kolonistów, a odebraną trzodę i bydło przekazali polskim rolnikom w okolicznych wsiach. Podobno chłopci trochę ze strachu dokonywali uboju tych zwierząt " Żeby wróg ich nie odbił" - myślałem naiwnie. Nie zdawałem sobie sprawy, że za przejęcie zwierząt od niemieckich gospodarzy Polakom groziła kara śmierci.

W obliczu sowieckiej ofensywy Niemcy przygotowywali się do obrony. To również można było zaobserwować w Opocznie.

Wzdłuż dróg i torów kolejowych, kopano większe i mniejsze okopy. Do tej roboty została zapędzona nawet moja najmłodsza siostra. Mimo, że była mniejsza od łopaty. Marzyła biedactwo, gdy nastąpiły jesienne szarugi. Niemcy wymagali od niej tyle, co od dorosłych. Zachorowała ciężko. Na szczęście ktoś z rodziny zdobył niezbędne leki i Teresa wróciła do zdrowia. Na Boże Narodzenie już wstała z łóżka i pomagała mi przy strojeniu choinki. To były święta uzasadnionych nadziei. Dziękując się opłatkami, do życzeń o rychły koniec wojny, doszły życzenia szczęśliwego powrotu do naszego domu.

W styczniu 1945 roku szkoły zamknięto. Obijałem się całymi dniami w gronie swoich rówieśników. Nadal patrzyliśmy na wschodnią stronę. Stamtąd spodziewaliśmy się usłyszeć kanonady dział. Myśl o tym potęgowała emocje. Zastanawialiśmy się, czy Rosjanie dobrze celują z armat. Pocieszaliśmy się, że w tym zastąpią ich na pewno polscy żołnierze. Bo mówili, że Wojsko Polskie też przeze wschodu na zachód. I podobno faszyci boją się bardziej naszych niż ruskich. To był powód do dumy.

- Coś długo nie strzelają...- zaczynaliśmy rozmowy kolejnego dnia.

- Wczoraj wieczorem coś jakby grzmiało - wtrącał któryś i na dziecięcych policzkach występowały wypieki. To już coś! Bo przecież brakowało już cierpliwości.

W dniu 15 stycznia najstarsza i średnia siostra wyszły jak zwykle na ósmą do pracy. Po godzinie wróciły do domu. Leżałem jeszcze w łóżku.

Mira oświadczyła, że jej firma przestała istnieć, a inż. Pacha z rodziną załadował się na ciężarówkę i wyjechał z Opoczna. Najstarszą - Genię - nie przepuścili żandarmi przez skwer. Na ulicach, na placu przy remizie strażackiej i w rynku pojawiło się mrowie niemieckiego wojska. Wyjrzałem przez okno. Na skwerze stały "tankietki" z czarnymi krzyżami.

Matka zakazała mi rano wychodzić na ulicę. Wymknąłem się z domu około południa. Pod pretekstem wyjścia z potrzebą na podwórze. Wtedy zobaczyłem krążący samolot. Przy drugim skryćcie nad remizą, ktoś zaczął strzelać. Wtedy odleciał w kierunku Radomia.

- To musiał być samolot szpiegowczy - orzekł ojciec - sowiecki - dodał. Zrobiło mi się smutno. Bo dlaczego to nie był polski?

- A po co on tu przyleciał - spytałem tatę.

- Pewnie rozeznawał rozmieszczenie wojsk. Może robił zdjęcia z lotu ptaka...

- Jakiego ptaka? Ptaka nie było - oświadczyłem kategorycznie.

- To się tylko tak mówi - objaśniał mi dalej ojciec.

Na drugi dzień ulice i place były już puste. Wojsko niemieckie wyjechało w nocy. Mogłem wyjść na ulice. Natychmiast udałem się z kolegą na poszukiwanie "skarbów". Może gdzieś granat zostawili przypadkiem? ~~mmmm~~ Może jaki bagnet? "Strzelali, to muszą być łuski" - rozumowałem. Wróciliśmy jednak do domu bez jakiegokolwiek zdobyczy. Opierając się o ścianę plecami, znów skierowaliśmy oczy na wschód. Od wschodu po niebie leciało stado wran. Z wrzaskiem przeleciały nad nami. Dlaczego już przed południem? Zawsze pojawiały się by przelecieć nad

naszą ulicą, gdy kończył się dzień. Na moment zrobiło się cicho. Potem zamiast wroniego krakania, usłyszeliśmy warkot silników. Wzmagał się z każdą chwilą. Jak przedtem wrony, teraz samoloty zaciemniły niebo. Już nie słyszałem wołania matki. Warkot silników zmieszał się z detonacją zrzuconych bomb. Zdążyłem zobaczyć na dachach za skwerem strzelające płomienie i upadłem w kałuże krwi. Obok już leżał kolega z rozszarpaną, krwawiącą nogą.

Podobno do domu wpadłem na czworakach. Bez krzyku i płaczu. Pewnie ze strachu już na to nie miałem sił. Z mojej głowy kapłała krew i nie widziałem, kto mnie postawił na nogi. Na szczęście rana na głowie nie była od bomby ani od pocisku. Uciekając z ulicy musiałem się o coś skaleczyć. Prawdopodobnie o gwoździe, których w bramie wejściowej było wiele.

Po pierwszym nalocie radzieckich samolotów wrócił do domu ojciec. Do tej chwili nikt nie wiedział, co się z nim stało. Siedzieliśmy całą gromadką w kącie i naszyły nas czarne myśli. Teraz nasz tato, jakby przeuwając dalszy ciąg nalotów, zdecydował o przejściu do piwnicy sąsiadów, bo była bardzo masywna, wzmocniona szynami pod sufitem. Tam już schodzili inni mieszkańcy domu. Ledwie zdążyliśmy się ulokować, znów nadleciały samoloty. W wejściu do piwnicy pojawili się nowi lokatorzy. Towarzyszył im krzyk i płacz dziecka. Lament jego matki, nawoływania i okrzyki przerażonych ludzi zmieszały się z odgłosem wybuchów. Tam na zewnątrz rozrywały się bomby. To wszystko mogło być dla mnie okropne. Ale ja czułem się bezpieczny. Obok byli wszyscy z rodziny, a moją głowę tuliła matka.

Gdy detonację było słycać blisko, zdawało się, że sufit w piwnicy wali się na głowę. Ściany pękały, odlatywał tynk i było pełno duszącego kurzu. Potem na krótki czas robiło się cicho. Do kolejnego nalotu.

Nie wiem po co Rosjanie zwalili na miasto aż tyle żelastwa. Może myśleli, że — jak dzień wcześniej w Opocznie — jest pełno niemieckiego wojska? A może Niemcy znów się zjawili, kiedy byliśmy w piwnicy? Nikt tego nie wiedział, bo nikt nie ośmielił się wyjść na zewnątrz przez cały dzień i noc. Wszyscy siedzieli spętani strachem i nie wiem czy ktoś zdołał zasnąć. Modliliśmy się na głos. Niebo prosiliśmy o litość i abyśmy mogli przeżyć.

Ktoś siedząc w pobliżu zapalanej gromnicy wyczytywał z litanii imiona świętych. Mówiono mi potem, że gromnicę pała, gdy trwoga i w pobliżu śmierć.

O świcie ojciec z innymi mężczyznami udał się na górę, żeby rozeznać sytuację. Wrócił i rzekł: "Naszego mieszkania już nie ma".

Potem nastąpiły kolejne fale nalotów. Bombardowanie i strzelanina trwały do samego południa.

Nagle wszystko ucichło. Nikt jednak nie ośmielił się wyjść z naszego "bunkra". Po chwili usłyszeliśmy dudnienie po ulicy. Zbliżało się coś ciężkiego, bo drgał płomień świecy. To coś raptem stanęło.

- To na pewno Rosjanie! - przerwała ciszę nasza mama.

Skąd wiedziała? Sama nie umiała wyjaśnić. Jakaś niepojęta siła przecucia pchnęła ją na ulicę. Za nią pognali inni. Ja też. Zmieszaliśmy się z ludźmi z sąsiedniego domu.

Tego co zobaczyłem, nie jestem w stanie opisać. Z olbrzymich czołgów rzucono w nas podarkami. Poleciały jakieś naczynia na ziemię, spadały rozbijając się butelki, ktoś podniósł z chodnika konserwę i nie wiem co jeszcze. A dla mnie było najważniejsze to, że pod moimi nogami turlały się cukierki.

Do dzisiaj trzymam na pamiątkę zrzuconą wówczas przez Rosjan menażkę. Okrągła z aluminium, na niej wyryte po rosyjsku "za swobodu i żyć".

VII. W Y Z W O L E N I

Nie pamiętam, kto nas przygarnął w tę pierwszą noc po wyzwoleniu do siebie. Nic o tym nie napisała w swoim pamiętniku Terenia. Na pewno w naszym mieszkaniu nie sposób było przemocować. Róg mieszkania rozwaliła bomba. Futryny i gruz zwaliły się na łóżka łamiąc je w drzazgi. Nie było szafy i nawet podłogi, pod którą schowałem swój straszak.

Na następny dzień ojciec wyruszył na miasto, by znaleźć dla rodziny jakiś dach nad głową. Zabrał mnie ze sobą. Szliśmy wśród gruzów, lei od bomb i spalonych domów.

Wzdłuż drogi z Radomia do Sulejowa biegnącej przez środek miasta, leżały ciała niemieckich żołnierzy. Po niektórych przejechały czołgi. Spatrzyłem, że mają sine twarze.

Zapytałem ojca: „dlaczego?”

- Bo umarli w śmiertelnym grzechu ... a w ogóle, to po co ja cię zabrałem tutaj - odpowiedział rozdrażniony.

Potem poległych Niemców władowano na wozy i tak samo, jak kiedyś Żydów - wywieziono za miasto. Któs mówił, że przywalono tą samą ziemią ...

Jeszcze tego samego dnia ojciec spotkał kobietę, której rodzina zginęła w czasie nalotu. Wyjechali z miasta na bagna, bo tam miało być bezpiecznie. Zrozpaczona postanowiła wyjechać do krewnych na wieś. Oddała więc klucze od swojego mieszkania naszemu ojcu. Pozwoliła tam zamieszkać i korzystać z mebli i sprzętu. To było wielkie szczęście dla nas w całym nieszczęściu. Natychmiast przenieśliśmy się na nowe.

To było ładne dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i piwnicą, w rogu rynku blisko "naszej" szkoły. Mama mogła teraz gotować na prawdziwym kuchennym piecu. W piwnicy pozostały ziemniaki i warzywa do naszej dyspozycji. Ojciec podobno znalazł "płatne" zajęcie. Płacono mu prowiantem. Było co wrzucić do garnka.

Mira - jak zwykle najodważniejsza - wyruszyła na szaber. Szperała w samochodach porzuconych przez Niemców nad rzeką. Kilka zbombardowanych pojazdów przed mostem zakorkowało przejazd następnym. Opuścili je faszyci w popłochu, by rzucić się w bród, przez Drzewiczkę.

Tych aut było kilkanaście albo więcej. Załadowane bielizną, kocami, lekami i żywnością. Mira przynosiła różności a przede wszystkim paczuszki z żywnością. Te podobno były przeznaczone dla oficerów. Najadłem się wreszcie słodyczy!

- Poszedłbyś ze mną, tam jest samochód z nartami - zachęciła mnie Mira do pójścia na kolejną wyprawę. Nie musiała dwa razy mówić! Chętnie ruszyłem z nią pełen ciekawości po zdobycz za rzeką. Wracalem, niosąc prawdziwe narty! Nie wiedziałem jednak, że do kompletu trzeba wziąć kijki.

Ten dobry dla nas czas po przejściu frontu skończył się niespodziewanie szybko. Samochody rozszabrowano błyskawicznie. Z kuchni i dwóch pokojów cieszyliśmy się zaledwie trzy dni.

Decyzją nowej, radziecko-polskiej administracji, pokój i kuchnię zajęli Rosjanie. "Zgęścili nas do jednego kąta" - tak określała nasza mama.

Początkowo odnosiłem się do Rosjan nieufnie. Tyle przecież złego nasłuchiwałem się o nich jako o komunistach. Okazało się, że "trafili" nam się bardzo kulturalni i życzliwi ludzie. To była grupa wojskowych z kwatermistrzostwa - wspominał ojciec. Dowódcą był oficer, z zawodu inżynier. Rafał miał na imię i tak kazał mówić do siebie nawet moim siostrom. Często walał kawą i rozprawiał z ojcem o polityce. Matka mówiła, że to "dobra kawa" i że taką piła ostatni raz przed wojną. Dziwiłem się że "dobra kawa" nie była dla dzieci. "Dobra - to tym bardziej powinni mi dać" - rozumowałem na swój sposób. Później mi wyjaśniono, że tak mama nazywała kawę naturalną. Po takiej to nawet się spać nie chce - ktoś mi powiedział.

Wśród radzieckich wojaków były dwie kobiety. Też w mundurach. Uzbrojone w "pepesze". Gdy obierały ziemniaki w kuchni i gotowały obiad dla oddziału, pepesze miały pod ręką. Stawiały je w pobliżu pieca i nie pozwalały mi się do nich zbliżać. "Bo pewnie były nabite" - myślałem. "Nabita pepesza może sama wystrzelić" - mówiła mama. "Czy takie baby umieją się z tym obchodzić?" - powątpiewałem, patrząc na broń z zachwytem i pożądaniem. Potem okazało się, że umieją nawet z nich strzelać... To było - jak odnotowała w swym pamiętniku Terenia - 21 stycznia. Naszego ojca i radzieckich żołnierzy nie było w domu. Nagle za oknem rozległy się serie wystrzałów. Usłyszałem gromkie "Urrra!" Zdążyłem przez okno zobaczyć jak przez rynek mkną na koniach dziwnie ubrani ludzie z szablami.

Strzelali na boki i przed siebie. Z brzękiem poleciała szyba. Ktoś mnie wciągnął do piwnicy. Tam przez okienko strzelały już rosyjskie żołnierki. Waliły do konnicy z pepeszy, które miały zawsze pod ręką.

Okazało się, że przez rynek pędzili Kozacy. Przebijali się przez Opoczno już wyzwolone. Chcieli dołączyć do swoich niemieckich sprzymierzeńców. Znów padali zabici. Od kozackich kul zginęło kilku rosyjskich żołnierzy. Wśród nich jeden oficer.

Potem na pobliskim skwerze usypano im wspólną mogiłę. Ustawiono pomnik z tablicą, na której wyryte nazwiska poległych. Dziś tego pomnika i tablicy już nie ma. Ktoś to zburzył. Dlaczego? Za co?

W pierwszą niedzielę lutego 1945 roku zobaczyłem polskich żołnierzy. Na ich przywitanie poszliśmy całą rodziną. Niosłem polską flagę uszytą przez mamę. Grała orkiestra, a oni jechali przez Opoczno na Berlin. Staliśmy w pobliżu bramy powitalnej. Na jej środku umieszczono białego orła. - Widzisz?. To polskie godło - wyszeptała Genia. " Za głuptasa na mnie i myśli, że nie wiem" - pomyślałem: oburzony. Od małego na pytanie "jaki znak twój?" odpowiadałem "orzeł biały", bo przecież od urodzenia byłem Polakiem.

Gdy przeszli nasi żołnierze, zebrani zaśpiewali: "jeszcze Polska nie zginęła". I ja śpiewałem, bo mnie tego w tajemnicy nauczyła mama. Ktoś przemawiał też do ludzi zebranych na placu. Na zakończenie uroczystości wszyscy zaśpiewali "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród"... i "Ojczyznę wolną pobłogosław Panie..."

Chociaż wówczas ojczyzna jeszcze wolna nie była. Mama pokazywała mi na zachowanej przez kogoś mapie Polski, gdzie dotarło wyzwolenie. Miejsce, gdzie przesuwiał się front zaznaczała na tej mapie szpileczkami. Co dzień szpilki przenosiła dalej i dalej. Chyba na podstawie tego, co mówili Rosjanie.

Gdy już jej szpilki stanęły nad Odrą, ogłosiła nam: "Możemy wracać do domu, Krzycko i Leszno już wolne!" W połowie lutego na zwiady pojechał Igoł. On nadal ubiegał się o względy mojej najstarszej siostry. Pojechał do rodzinnego Jarcina. Przy okazji odwiedził Krzycko. Po powrocie opowiedział wiele szczegółów o stanie naszego mieszkania. Opuściła je żona niemieckiego nauczyciela z dwójką dzieci. On został powołany na front. Naszym domem opiekowali się sąsiedzi. Ale naszych mebli - jak mówił Igoł - nie było.

Któregoś dnia nasz tatuś wrócił z polskiego urzędu bardzo zdenerwowany. Dowiedział się, że odkryto listy sporządzone przez gestapo. Widniały na nich nazwiska osób przewidzianych do aresztowania i wywiezienia do obozów koncentracyjnych. Wśród "przewidzianych" był również nasz ojciec. Za co? Chyba za przynależność do polskiej inteligencji. Ciekawe co planowali zrobić w przyszłości z resztą mojej rodziny?

Nasza rodzina postanowiła wracać z wygnania na raty. Dwie siostry i ojciec pojechali w ostatnich dniach lutego. Matka, najstarsza siostra i ja udaliśmy się na dworzec czwartego marca, bo już od dwóch dni było znacznie cieplej. Zniknęły obawy, że w podróży zmarzniemy do kości. Na stację szedł

z nami Igol. Czekaliśmy parę godzin. Pociągi przejeżdżały, nie zatrzymując się. Wreszcie jakiś stanął. Zapewne w parowozie zabrakło wody.

Igol zaczął szukać dla nas miejsca. Znalazł takie w odkrytej węglarce. Nasza mama początkowo nie chciała się wspinać. Powstał zgiek wśród podróżnych i trudno się było nawzajem zrozumieć. Wtedy Igol wrzucił mnie tam jak piłkę. Wylądowałem na głowach i ramionach z trudem mieszczących się ludzi. Zacząłem drzeć się, bo bałem się, że sam pojedę. Ludziska ulitowali się nade mną i pozostała na peronie resztką rodziny. Wciągnęli mamę i Genię do środka. Potem jeszcze na nas zleciały nasze tobołki. Przecisnąłem się po bryłach węgla w ramiona mamy i pociąg ruszył. Zawiozł nas tylko do Koluszek. Kazano nam wysiąść na peron. Tu znów pojawił się nieoczekiwanie Igol. Jak anioł stróż. Podobno do Tomaszowa jechał, wisząc z boku wagonu a potem znalazł miejsce na dachu.

W Koluszkach czekaliśmy na "dalsze połączenie" wiele godzin. Zrobiło się ciemno. Padał śnieg z deszczem. Mama dała coś ciepłego pić. Skąd to zdobyła, nie wiem. Siostra też tego nie pamięta. A Igol dogadywał się z kolejarzami i w końcu z kimś "za coś" załatwił nam dalszą podróż. Poprowadził kawał drogi po szynach. Z dala od stacji stał sapiący parowóz.

- Na nim pojedziecie dalej - powiedział i zaczął montować z desek siedzenie. Z przodu na buforach maszyny. Przerażonej matce krzyknął na ucho: "Bo inne miejsca już zajęte!"

Mamę posadził z jednej strony. Genię z drugiej a mnie pośrodku. Nakrył nas zdobycznymi kocami, kupioną od kogoś plandeką. Te wszystkie przywiązał sznurami, żeby ktoś z kocem nie wypadł. Parowóz ruszył.

- Tylko nie zeskakujcie po drodze, bo słona zapłaciłem za tę jazdę. To był głos Igela. Ledwie go usłyszałem przykryty kocem. Nikt nie chciał uwierzyć, że myśmy się utrzymali w czasie jazdy na tych buferach. I że nie zmarzliśmy. Faktycznie z przodu przewiewało, ale w plecy było nam ciepło. Nie pamiętam, czy parowóz ciągnął wagony, czy pędził sam. Straciłem też rachubę czasu. Te wszystkie było mało ważne. Najważniejsze, że jechaliśmy na zachód.

W Kaliszu znów na peronie pojawił się Igel. Nie zastanawiałem się, skąd się tam wziął. Być może jechał na dachu. Pomógł nam wygrzebać się spod nakrycia i stanąć na wielkopolskiej ziemi. Nawet zapytał, czy bardzo zmarzłem. Wtedy poczułem do niego sympatię. Gdy zegnał się z nami, zapewniał, że niedługo przyjedzie do Krzycka. Sam wsiadł do innego pociągu i dalszą podróż odbyliśmy sami.

Ostatni odcinek do Leszna jechaliśmy w prawdziwym osobowym wagonie. " W pulmanie " - mówiła mama. Zmarzłem w nim bardziej niż na parowozie. Bo wagon miał okna bez szyb. Ludzi było niewiele.

Z Leszna do Krzycka, w kierunku na Welsztyn, tory były zablokowane przez wojsko sowieckie. Po zorientowaniu się, że nic i nikt nas nie powiezie - mama zdecydowała, że pójdziemy pieszo. Martwiła się tylko, czy zdołam pokonać na własnych nogach te ostatnie przed domem kilometry.

Z Leszna jest ich 13.

Po drodze były odpoczynki. Ale krótkie, bo ja popędzałem dalej. Wyprzedzając co chwilę swoje kobiety, chciałem pokazać że jestem dzielny. Podczas kolejnej przerwy w marszu do upragnionego celu, mama z Genią zaczęły zastanawiać się, czy ojciec - zgodnie z danym mu poleceniem - odszukał nasze meble, zagospodarował dom i poczynił zapasy żywności na nasz przyjazd.

- Zaraz ci synku "upichcę w kaseroli karbonadę z modra kapuchą" co znaczyło, że upiecze w nakrytej patelni kotlet schabowy z czerwoną kapustą. To był specyficzny słownik naszej mamy. Rozumiałam go dobrze, ale mnie nie chodziło o "modrą z karbonadą". Ja ciągle myślałem o jajkach utartych z cukrem. Żeby się upewnić, że będę mógł spełnić to swoje wieczne marzenie, spytałem nieśmiało:

- A czy tata nałapie kur, co by znosiły jajka?

"Byłby kłopot, gdyby się okazało, że ojciec z siostrami jeszcze nie dojechał do Krzycka" - niepokoilem się.- "To się prędko wyjaśni, tylko musimy przyspieszyć". I znów pierwszy ruszyłem w drogę.

- Patrz Staszek, co na tej tablicy pisze... - powstrzymała mnie nagle siostra. Stałem i przeczytałem drogową informację: "Krzycko Wielkie". Tu był nasz dom! Przez 5 lat i trzy miesiące musiałem zapomnieć jak wyglądał.

Zastanawiam się, dlaczego w tym momencie nie wykrzesalem resztki sił, żeby ruszyć biegiem do domu. Wtedy zbliżyłem się do mamy i ująłem ją pod rękę, by iść ostatnie metry z nią razem. Zapewne czekałem, aż mi powie, który to dom,

w którym się urodziłem, a potem kazali mi go opuścić z tobołkiem na plecach. I nikt nie powiedział dlaczego i za co.

- To ten czerwony, otoczony murem. Widzisz go synku?

Przed domem stali ludzie z karabinami. Na rękawach cywilnych ubrań mieli biało-czerwone opaski. Nad wejściem do budynku ktoś wywiesił odręcznie wypisaną tablicę: "Posterunek Milicji".

Ale tylko jedno pomieszczenie zajmowali ci nowi milicjanci. Przebiegłem resztę pokoi i nie słuchałem, co mówią ludzie. Szukałem na próżno taty. Nagle ktoś od tyłu zasłonił mi oczy i przygarnął do siebie. To Terenia! Potem nadbiegła Mira i wyciągała mnie na powitanie. A ojca nie było.

- Tatuś pojechał szukać naszego pianina. Podobno przywłaszczył go sobie jakiś Niemiec z Leszna. Bo wiesz? Niemcy są bardzo kulturalni. Wielu z nich grywa na pianinie...

Siostra mówiła chaotycznie. Była wzruszona naszym przyjazdem i uśmiechała się. Chciała, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi. I żebym się nie bał o los naszego taty.

Wreszcie i nasz ojczulek wrócił do domu. Co to było za powitanie! Potem zaprowadził mnie na strych. Tam już na mnie czekał mój koń na biegunach. Z prawdziwą grzywą i ogonem. Wielki jak ja. Usiadłem w siodle i kołysałem się na nim przez kilka dni. Z przerwami na rozmowy i jedzenie. A po obiedzie było zawsze jajko z cukrem! Bo na naszym podwórzu spacerowały już kury.

Po kilku dniach posterunek milicji przeniesiony został do innego budynku. Ale na miejsce milicji wkroczyło wojsko polskie. Było kilkudziesięciu żołnierzy. Zakwaterowani

zostali w szkolnej klasie, a do pokoju po milicjatach, wprowadziło się kilku polskich oficerów. Przebywali u nas przez wiele dni, oczekując na rozkaz, żeby ruszyć na front. Front wtedy był jeszcze blisko Krzycka. Głogowa Rosjanie nie mogli zdobyć. W pogodne wieczory przy zachodnim wietrze, stamtąd dochodziły nas odgłosy wojny. Baliśmy się czasem, że Niemcy przełamają linię frontu i wrócą do nas. Choć ja się tego bałam najmniej, bo przecież z nami byli polscy żołnierze! A oni z mym ojcem śpiewali piosenki. O tym, że... "po masakrach szedł żołnierz i ginął", że "od śmierci silniejszy był gniew..." i "jak to na wojence ładnie".

Wiele lat później, nasz ojciec już jako dziadek - opowiadał swojemu wnukowi o pobycie w Krzycku naszego wojska. Przypominał słowa innej, śpiewanej przez nich piosenki:

"To jest Ameryka, to słynne USA, to jest potężny kraj, po ziemi rajtarajtaraj!" Wspominał, że oficerowie śpiewając ją, bębnilo rękami po stole i tupali o podłogę w rytm słów i melodii. Czynie to z taką werwą, że słyszała ich nawet babcia za ścianą, mimo że w wyniku przeżyć okupacyjnych, słuch miała bardzo osłabiony.

- A o ZSRR śpiewali? - przerwał wnuk.

- Nie, bo oni pamiętali napaść Związku Radzieckiego na Polskę w 1939 roku, słyszeli o Katyniu i niektórzy z nich przeżyli Sybir - odpowiedział dziadek.

- No, ale przecież to właśnie Armia Czerwona, a nie wojska amerykańskie, przepędziła Niemców z Polski - przekonywał wnuk.

- To prawda - przyznał dziadek - ale wtedy nasi oficerowie

byli zdania, że Rosjanie wyzwolili nasz kraj przy okazji parcia na zachód, bo Stalinowi zależało na zdobyciu nowych obszarów dla siebie i podporządkowania sobie kolejnych narodów... Polskiego również.

- A nas w szkole uczyli inaczej - pożalił się wnuczek. Przysłuchiwałem się rozmowie dziadka z wnuczką i wróciłem pamięcią do wiosny czterdziestego piątego roku. Żołnierze opuszczający Krzycko zostawili nam w darze trzy rowery i chorego konia "Berka". Ojciec potem go wyleczył. Na strychu złożyli jakieś kufry, prosząc by się nimi troskliwie zaopiekować. Mieli nadzieję zabrać je, gdy skończy się wojna. Nie wszyscy jednak po nie wrócili. Część tego "skarbu" zabrali koledzy poległych pod Budziszynem.

W kwietniu nasz ojciec rozpoczął pracę w zorganizowanej na nowo szkole. Utworzył dwie grupy. W jednej uczył takich, co nie umieli pisać i czytać po polsku, w drugiej bardziej zaawansowanych w nauce.

W tej drugiej byłem też ja. Chodziły ze mną "dryblasy". Przez pięć lat uczono ich tylko po niemiecku. W przeciwieństwie do Opoczna, w Krzycku nie było polskiej szkoły. Teraz te wyrosnięte dzieciaki uczyły się wszystkiego niemalże od początku. Byłem najmniejszy wśród nich. Musiałem zadzierać głowę, aby patrzeć im w oczy. Uderzany przez nich w czasie gry piłką, fikałem koziołki. Mieli łapska, w których by się zmieściły po dwie moje piąstki.

Pamiętam, że w tym okresie do naszej szkoły przyjechali lekarze i pielęgniarki. Skierował ich Duński Czerwony Krzyż.

Orzekli, że ja i kilkoro innych dzieci mamy gruźlicę. Ujawniono też dotkniętych krzywicą i rodzeństwo z chorobą Heinego-Medina.

- To z niedożywienia i wojennej poniewierki - mówiło się wtedy. Potem musieliśmy pić w szkole codziennie tran. Kto nie wypił, nie wyszedł na przerwę.

8 maja 1945 roku graliśmy w piłkę wyjątkowo długo, nim odezwał się dzwonek na lekcje. Wtedy na boisku zjawił się mój ojciec.

- Dzieci! Dziś macie dzień święta - rzekł uroczyście. - Dziś skończyła się wojna! Zamilkł na chwilę ze wzruszenia, po czym dodał:

- Biegnijcie do domów. Powiedzcie o tym rodzicom! A myśmy wrzeszczeli z radości. I ziściło się moje wysiedleńcze marzenie. Wojna rzeczywiście skończyła się w moje imieniny. Mogłem częstować kolegów cukierkami.

SPIS ROZDZIAŁÓW

1. Wyparci na wschód.	str. 1
2. Pokój na scenie.	str. 16
3. Ludzie i bestie.	str. 29
4. Mieszkanie przy Szpitalnej.	str. 49
5. Gdy nasilał się ruch oporu.	str. 62
6. Czas się dłużył.	str. 74
7. Wyzwolenie.	str. 90